Rocznik XV Nr 9 1946

GŁOS KARMELU





Dlaczego kocham Cię, o Marjo!

Ostatni utwór
św. Teresy od Dzieciątka Jezus

O Matko, niech wyznanie w tej pieśni uczynię
Dlaczego z mej miłości przynoszę Ci dary;
Czemu w duszy, gdy myślę o Tobie jedynie
Nie budzą lęku Twojej wielkości bezmiary,
Ach Twej chwały, Mateńko, ni pojąć, ni mierzyć,
Z niej czerpią blask promienny Święci w zaobłoczu!
Że jestem Twojem dzieckiem — trudno mi uwierzyć . . .
Ja nie zdołam przed Tobą, Marjo, podnieść oczu.

Zawsze płomień miłości dziecko w piersi czuje,
Na myśl, że matki serce wspólnie z niem cierpiało:
Królowo, Twoje serce, — ach, ja to pojmuję,
By zyskać moją miłość, ileż łez wylało!
To, co mówią o Tobie Ewangelji słowa,
Zbliżyć mi się do Ciebie i patrzeć ośmiela;
Tak prostą była życia Twojego osnowa —
Żyłaś, cierpiałaś jak ja — Matko Zbawiciela.

Gdy Ci anioł zwiastował poczęcie — Dziewico!
— Boga, który świat cały trzyma w mocy swojej,
Wydawałaś się trwożną, — dziwna tajemnico,
Boś myślała o skarbie niewinności Twojej.
Ja pojmuję, że dusza Twa pokorna, czysta
Tak drogą była Bogu — jak w niej przebywanie;
Ja wiem, że tylko ona jasna, promienista,
Mogła służyć samemu Stwórcy za mieszkanie!

Kocham Cię, jako Pana służebnicę małą,
Któregoś zachwyciła pokory wielkością:
Ty w pokorze posiadasz swą potęgę całą,
Przez nią Cię Trójca Święta darzy obecnością.
I dla niej Cię otoczył dobry miłościwy
Duch Boży. I w łonie Twem miał przybytek godny,
Gdy dla nas postać ludzką przyjął. Bóg prawdziwy,
Którego Imię JEZUS — Twój Syn pierworodny!

Ty wiesz, Marjo, że mimo mojej maleńkości,
Jak Ty, w sercu posiadam Wszechmocnego Pana.
Nie budzą we mnie lęku moje ułomności,
Skarb Matki — to skarb dziecka, Matko Ukochana,
Jam dzieckiem kochającem mocą duszy całej,
Czyż Twa miłość i cnoty — nie są także moje?
Gdy do serca wstępuje mój Pan w Hostji białej,
Sądzi, że to jest Matko słodkie serce Twoje!

Ty mi dajesz rozumieć. że iść w Twoje ślady,
To nie jest trudną rzeczą — Królowo wybranych!
Wąskiej do nieba ścieżce nie dałabym rady,
Gdybyś przez nią nie wiodła blaskiem cnót świetlanych,
Przy Tobie pragnę zawsze pozostać maleńką,
Niechaj Twoja pokora przykładem mi będzie:
W domu Świętej Elżbiety poznałam, Mateńko,
Jak ziarna miłosierdzia mam rozsiewać wszędzie!

Tam, klęcząc słucham słodka Królowo Aniołów,
Wzniosłego hymnu, który z Twego serca tryska:
Ty mnie uczysz melodji niebiańskich zespołów
Dziękczynnej, żem jest Zbawcy mojemu tak bliska.
Twoje słowa miłości, to tajemna rosa,
Która po wszystkie wieki da ożywcze tchnienie;
Przez Ciebie Wszechmocnego zesłały niebiosa, —
Rozmyślam, błogosławiąc Najświętsze Wcielenie.

Opiekun Twój nie widział cudu Zwiastowania,
Więc pogrążony w smutku płakał Józef Święty,
W swej pokorze nie dałaś niczem do poznania,
Że w Twem Tabernakulum ZBAWICIEL poczęty!
Jakże Cię kocham za to milczenie wymowne!
— To symfonia melodji nikomu nieznanej:
Ona moce Twej duszy ujawnia cudowne:
Ty widzisz pomoc tylko w krainie świetlanej!

Widzę Cię wraz z Józefem — zewsząd odepchniętych,
Gdy szukacie w Betleem, kędy głowę złożyć:
W każdym domu brak miejsca dla biedaków świętych,
Nikt wam, Przeczysta Matko nie chce drzwi otworzyć.
— Możni miejsca zajęli! — zaledwie w stajence
Dano Dziewiczej Matce wydać Stwórcę nieba;
O Marjo, jakżeś cudna w tej nowej udręce,
Aby taka być, na to Twej wielkości trzeba!

Gdy słyszę, jak cichutko Słowo Boże kwili,
Kiedy widzę, jak Stwórca w pieluszki spowity...
Marjo, czy mam zazdrościć Aniołom w tej chwili,
Ich Bóg jest moim bratem — to rozkoszy szczyty!

Kocham Cię, żeś Najświętsza, u ziemskich wybrzeży
Kwiat niebiański z Bożego tchnienia rozwinęła
I, że przyjmując hołdy królów i pasterzy,
Radość ukryłaś w sercu, żeś Boga poczęła.

Kocham Cię, że zniżając Świętość swą z innemi
Niewiasty niesiesz Syna swego do Świątyni,
Za to, że Go podajesz rękami własnemi
W objęcia Symeona, Najświętsza Władczyni.
Jam najpierw wniebowzięta, szczęśliwa, wsłuchana,
W hymn chwały, lecz, gdy starzec swe proroctwo wieści
Do serca mego trwoga napływa o Pana,
— Twoje, Matko, przeszywa ostry miecz boleści!

Królowo męczenników! do zmierzchu dni Twoich
Miecze boleści będą ranić Twoje Serce:
Teraz porzucasz, Matko, strony ojców swoich
W ucieczce przed Herodem, by żyć w poniewierce...
W fałdach szaty ukryty śpi Jezus spokojny,
A Ty, Najświętsza, zawsze posłuszna, bez zwłoki,
Gdy Cię w podróż przynagla Józef bogobojny,
Idziesz w dal, choć noc skryła ziemię i obłoki...

Tam na ziemi egipskiej, w biedzie, słodka, cicha,
Zdajesz mi się w swem sercu spokojną, radosną,
Wygnanie!? Twoje łono swobodnie oddycha —
Jezus jest Twą ojczyzna, Twem niebem, Twą wiosną!...
Lecz potem gorzki smutek znów w Jerozolimie
Napełnia Twoją duszę,— zginął Jezus drogi!...
Trzy dni Go szukasz wszędzie, szepcąc słodkie Imię:
To było Twe wygnanie! — Pełne bólu trwogi.

Nakoniec Go wśród grona uczonych znajdujesz,
Gdy budzi podziw starców dookoła siebie
I Wołasz: „ach, mój Synu!" — drżąca obejmujesz —
„Oto wraz z Ojcem, płacząc, szukaliśmy Ciebie!"
I gdy tulisz do łona jedyne swe dziecię,
Słyszysz prostą odpowiedź Jezuska małego:
„Czemuście mnie szukali? — czyż o tem nie wiecie,
„Iż trzeba, bym o rzeczach myślał Ojca mego?"

Ewangelja mi mówi, że podziwu godny,
Wzrastał w mądrości Jezus, a zawsze poddany
Ojcu i Matce swojej, posłuszny, pogodny,
Jak tylko mógł być Marii Syn umiłowany.
Poznałam tajemnicę, idąc Jego śladem:
Do Świątyni nietylko wiodła Go nauka,
— O Matko, Syn Twój pragnął, byś była przykładem:
Niech dusza, w mrokach błądząc, też Jezusa szuka.

Jeżeli Stwórca świata dał cierpienia tyle
Swej Matce, że konała z bólu i goryczy,
To łaską dla nas cierpieć, przez wygnania chwile,
A cierpienie z miłości jest szczytem słodyczy!
Wszystko, co dał mi Jezus, niech weźmie z powrotem:
Powiedz Mu, Przenajświętsza, niech mnie nie oszczędza.
Gdy się skryje — zaczekam, Ty wiesz dobrze o tem,
Do dnia w którym się zetli mego życia przędza.

W Nazarecie, Przeczysta, pełna Bożej łaski,
W pracy i biedzie żyłaś pośród swej rodziny,
Nie zdobiły zachwyty, uniesienia, blaski,
Dni Twoich szarych, Matko Królewskiej Dzieciny:
Biedakom, których mnóstwo na ziemskim padole,
Otuchę niosło Twoje Oblicze anielskie,
Znosiłaś w ciężkim trudzie wspólną z nimi dolę,
By wskazać im wieczyste wybrzeża niebieskie.

Podczas tych dni przesmutnych, Matko Uwielbiona,
Pragnę z Tobą być razem — gdy trwa me wygnanie,
Jakże do głębi dusza moja zachwycona,
Odkrywając w Twem sercu miłości otchłanie!
Ty mnie uczysz, Najświętsza, smutku i wesela:
Pod ócz Twoich spojrzeniem pryska bojaźń wszelka:
Wiem, że łzy i radości Serca Twe podziela
I błogosławi życiu Twoja dobroć wielka!

Widząc niepokój w Kanie młodych oblubieńców,
Powiedziałaś Synowi, co było ich troską:
Tyś współczuła w kłopotach biednych nowożeńców
I znałaś niepojętą Jezusa moc Boską.
— Nie zaraz spełnił prośbę, rzekł: „Co mnie i Tobie
Niewiasto: jeszcze moja nie przyszła godzina".
Lecz w sercu zwie Cię Matką i o Twej Osobie
Myśli, gdy na Twą prośbę cuda rozpoczyna.

Dnia jednego, gdy rzesza nauki słuchała
Tego, którego miłość wszechświat ogarnęła,
Ktoś się do Pana zwrócił, — Tys na wzgórzu stała —
Żeś się, Najświętsza, z Synem zobaczyć pragnęła.
Pan powiódł po zebranych miłosiernym, rzewnym
Wzrokiem, a chcąc okazać wszystkim miłość swoją,
Powiedział: „Któż jest matką, kto jest moim krewnym,
Jeżeli nie ten, który czyni wolę moją?"

Matko Niepokalana, Tyś się nie zdziwiła,
Ani słowa Jezusa nie były przyczyną
Smutku Twego, — przeciwnie, Tyś się ucieszyła,
Że Jezus tu, na ziemi, zwie nas swą rodziną.

Jakże Cię, Przenajświętsza, mamy nie miłować?
W bezgranicznej hojności Skarb niebieski dajesz,
Gdy Jezus ma swe życie za nas ofiarować,
Ty w sercu swem strapionem radości doznajesz!

Twą miłość równać można tylko z Jezusową:
Godzisz się na rozstanie, na Syna ofiarę,
By nam być wspomożeniem na ziemi, królowo,
Sama pragniesz goryczy do dna wypić czarę!
Jezus wiedział, że w serca Twojego skarbnicy
Są ogromy uczucia, miłości i troski,
Więc chciał, by w Tobie mieli UCIECZKĘ grzesznicy,
Gdy po męce do nieba wróci — On, Syn Boski!

Ty mi się jawisz, Święta, na Kalwarji szczycie,
U stóp krzyża, jak kapłan, gdy ofiarę składa:
By przebłagać gniew Ojca, Zbawiciela życie
Niesiesz: — Twe Serce większych skarbów nie posiada...
Już prorok przepowiedział tę mękę bezkresną
„Niema w świecie cierpienia podobnego Twemu",
Królowo męczenników, Tyś Matką Bolesną,
Za krew serca oddaną ludowi grzesznemu!

W ostatniej chwili Chrystus poleca Ci Jana
I schronieniem dla Ciebie jego dom się staje;
Oprócz tych wiadomości, Matko Ukochana,
Nic więcej Ewangelja o Tobie nie daje.
To głębokie milczenie Ewangelji świętej
Pozwala nam zrozumieć, że wszystko opowie
Swoim wiernym sam Jezus, w łasce niepojętej,
Że w niebie o Twem życiu każdy z nas się dowie!

Wkrótce w Bożych niebiosach będę Cię widziała
Gdzie pieśń Świętych o Tobie napełnia przestrzenie,
W poranku życia mego, Tyś mi uśmiech dała:
Uśmiechnij się znów — oto już wieczoru cienie!
Nie trwożę się Twych blasków po ziemskiej ciemności:
Jam cierpienia dzieliła Twe i ciężkie znoje..
— Teraz u stóp Twych pragnę śpiewać hymn radości:
CZEMU KOCHAM CIĘ MATKO? — bom ja dziecię
[Twoje!



Z. Żorecki

Na nowe święto Niepokalanego Serca Maryi

(Dokończenie)

Jutrznia Oficjum Pańskiego na uroczystość Niep. Serca Maryi stanowi doskonałe przygotowanie duszy do Mszy świętej.

INTROIT wyraża tu myśl przewodnią całej Mszy św. i święta Pierwsza część Introitu — to poryw naszej duszy, podyktowany tęsknotą za świętością i Bogiem. „Przystąpmy z ufnością do stolicy łaski". Stolicą łaski jest Maria; wiara w Jej pośrednictwo i macierzyństwo wytwarza w duszy postawę ufną, pozbawioną lęku i onieśmielenia. Wiemy, jak jest potężna, jaka jest jej rola w dziele zbawienia świata. Znamy moc Jej miłości, to też w tych słowach: „abyśmy otrzymali miłosierdzie i znaleźli łaskę odpowiedniej mocy" brzmi pewność, że tak się stanie.

Druga część mieści w sobie pierwsze zdanie z przepięknego psalmu 44-go i jest jakby odpowiedzią Marii; wyraża głęboką myśl streszczającą sens życia Marii: „wydało serce moje słowo dobre, śpiewam pieśń moją królowi". Życie Marii było pieśnią chwały dla Boga. Bóg był królem Jej serca, serca czystego, które wydało słowo dobre, słowo, czyli chwałę Bożą. Idąc dalej po linii tej myśli można wnioskować, że i hołdy, którymi ludzkość chwali Marię, są dalszym ciągiem tej pieśni, którą Maria Bogu wieczyście śpiewa.

ORACJA jest relatywna, to znaczy, że do inwokacji przed prośbą wprowadza zdanie wtrącone, które często jest skróconym hymnem pochwalnym, albo wyraża jakiś przymiot Boga, albo się wiąże z naszą prośbą. W tej oracji już sama inwokacja podkreśla wszechmoc i wieczność Boga: „*Omnipotens, sempiterne Deus*", a więc przymioty, które najbardziej zachęcają człowieka — tak bardzo ograniczonego w swoich możliwościach — do prośby. Zdanie wtrącone do inwokacji: „*qui in corde beatae Mariae Virginis dignum Spiritus Sancti habitaculum praeparasti*" mówi o Sercu Marii, które Bóg uczynił godnym przybytkiem Ducha Świętego. I znowu świadomość, że Bóg, który serce Marii napełnił Duchem Świętym i może to uczynić z każdym ludzkim sercem, przydaje naszej prośbie siłę nieomylnej pewności, że zostaniemy wysłuchani, a uroczystość Niepokal. Serca Marii obchodzić będziemy „**devota mente**", z pobożną postawą duszy i otrzymamy łaskę życia zgodnego z intencją Bożej miłości: *Secundum Cor Tuum*.

W LEKCJI znajdujemy pochwały mądrości z Księgi Eklezj. (24, 23—31), które Kościół aplikuje Matce Najśw. Tę samą lekcję ma święto Macierzyństwa Marii (11, X) i Matki Boskiej z Góry Karmelu (16, VII). Maria jest Matką pięknej miłości i bogobojności, i poznania i nadziei świętej. Tekst tej lekcji jest wypowiedziany w 1-ej osobie, jakgdyby Maria sama do nas przemawiała i dlatego wywiera to na nas niezwykle silne wrażenie. W introicie nasze dusze, pełne tęsknoty i wyczekiwania zwróciły się ku Marii i pełne ufności rzuciły się do stóp „Tronu łaski"; w Oracji prosimy o godne przeżycie Jej święta. A oto jakgdybyśmy zo-

stali od razu wysłuchani, bo Maria mówi sama do nas słowami słodszymi nad miód, które serca wyrywają „z domu niewoli", z udręk ziemskich. słowami, które z dobrocią, wspaniałomyślną miłością spływają z wysokości Jej tronu, pochylając się nad nami ze słodką, ośmielającą zachętą. „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy mię pragniecie i najedźcie się owoców moich"... „We mnie wszelka łaska drogi i prawdy, we mnie wszystka nadzieja". Maria niejako sama, własnymi słowami, świadoma swej nieustającej nigdy misji i mocy potwierdza to, co głosi o Niej dogmat. Nie skończyła się rola Marii z Jej życiem na ziemi: — „Pamięć moja na pokolenia wieczne". Największym, najtajniejszym, najdroższym tęsknotom serca ludzkiego odpowiadają te słowa uszczęśliwiającą ponad wszelką miarę i kojącą metafizyczne bóle — pewnością, że w Marii i przez Marię dojdziemy do Boga: „Kto mnie słucha, nie będzie zawstydzon, a którzy przeze mnie działają, nie zgrzeszą. Którzy mnie objaśniają, będą mieć żywot wieczny".

W *GRADUALE* — tej śpiewnej medytacji na temat lekcji, z rozradowanym i wdzięcznym sercem składamy Bogu dzięki za dobra, które nam ukazał i objawił w lekcji słowami psalmów 18. 44 i Magnificat: — „Serce moje raduje się z pomocy twojej. Będę śpiewał Panu, który mnie dobrem obdarzył, sławić będę imię Najwyższego" (Ps. 18). „Będę wspominać imię Twoje z pokolenia na pokolenie, dlatego narody będą Cię sławić wiecznie i na wieki wieków (Ps. 44). „Wielbi dusza moja Pana i rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim".

TRAKTUS zawiera tekst z Księgi Przypowieści (8): „Teraz tedy, synowie, słuchajcie mię, błogosławieni, którzy strzegą dróg moich! Słuchajcie napomnienia i bądźcie mądrymi, a nie odrzucajcie go".

Są to znowu jakgdyby słowa samej Marii.

Te wstępne części Mszy św. katechumenów sprawiają wrażenie przepięknego i wzruszającego dialogu Marii z Kościołem, dialogu odbywającego się w świecie nadprzyrodzonym, w blaskach mistycznego porywu duszy człowieczej i miłosnego nachylenia się nieba ku ziemi. Punktem kulminacyjnym tej wstępnej Mszy św., która streszcza w sobie nastroje całego Święta, jest *EWANGELIA*. Taka krótka a tak wymowna w swej przejmującej zwięzłości: Pan Jezus wisząc na krzyżu zwraca się najpierw do Marii i mówi Jej: „Niewiasto, oto syn twój", a do św. Jana: „Synu, oto Matka twoja". Zapewne nie o zapewnienie Marii opieki Jana po śmierci Jezusa tu chodziło. Żyli przecież krewni Jezusa, którzy powinniby się zająć Marią. Treść tego testamentu Jezusa jest taka: Maria ma czuwać nad przemienieniem się wewnętrznym duszy ludzkiej w Chrystusa. Św. Jan reprezentuje pod krzyżem całe **Corpus Misticum.** Maria była Matką Chrystusa Wcielonego, pozostaje nadal Matką Chrystusa kształtującego się w łonie ludzkości; w Ciele Mistycznym. w Kościele. Ten „Syn", którego Chrystus w osobie Jana powierza z krzyża Marii — to ludzkość odkupiona przez Zbawcę, ale ludzkość, która się musi w niego przemienić. Ten trud przemiany nabiera mocy skutecznej dzięki odkupieniu, ale bez macierzyńskiej opieki Marii byłby pozbawiony słońca. Testament Jezusa nie ma więc znaczenia czysto

ziemskiego i uczy nas jeszcze tego, że wieczność nie jest jeszcze jakimś nowym bytowaniem, wspartym na innej bazie metafizycznej, ale wyrasta z korzeni doczesności, z ludzkiej psychiki i duchowości, wyolbrzymionej, uwielmożnionej, ubóstwionej, a jednocześnie tej samej.

Tak przygotowani i pocieszeni twórczymi słowami Pisma św. możemy złożyć dusze swe na ołtarzu i w Misterium Kanonu i Komunii św. zanurzyć je w Bóstwie.

W SEKRECIE prosimy, aby serca nasze rozpłomieniły się tym samym boskim ogniem, którym płonęło serce Marii.

W KOMUNII odzywają się jeszcze refrenem słowa Ewangelii: „Niewiasto, oto syn twój" dla podkreślenia faktu, że przez Komunię św. przemieniamy się w Chrystusa. Stajemy się dziećmi Marii, tak jak On był Jej Synem. W chwili Komunii św. najrealniej wypełnia się na nas testament Chrystusa, najpełniej dokonuje się przemiana wewnętrznej postawy człowieka, który ze stanu skażenia przechodzi w stan łaski, odkupienia, wtedy natura „*vulnerata*" staje się „*sanata*"...

Wszystkie teksty liturgiczne tego święta ukazują nam Marię w podwójnej aureoli: dziewiczości i macierzyńskości. Dziewiczość i macierzyńskość Marii wspiera się na głębokiej pokorze. Pokora jednak Marii wyrosła nie skutkiem upadku w grzech, ale z metafizycznej konieczności, jest wyrazem ontologicznego porządku. Pokora Marii nie mogła być skutkiem grzechu, gdyż była Niepokalanie poczęta i żadna zmaza w Niej nie powstała. „Niskość" Marii (o której mówi w Magnificat), to nie niskość grzesznika, który przez grzech stał się strzępem bytu odrzuconego przez Boga, choć z Jego rąk, jako dzieło Jego chwały wyszedł. Świadomość skażenia i grzechu rodzi ową przerażoną wielkością Boga i własną nędzą pokorę smutku i bezmiernej dalekości, pokorę wyciągającą ręce ku Absolutowi poprzez przepaść dalekości. Pokora Marii nie ma w sobie nic z tego przerażenia, nic z owego straszliwego poczucia odrzucenia od Boga, które stanowi *misterium tremendum* grzechu, misterium znane nawet największym Świętym. Pokora Marii jest świadomością nierozerwalnego związku stworzenia ze Stwórcą, związku ufnego, oddanego, uległego, a przede wszystkim niezmiernie bliskiego, jest odnalezieniem metafizycznego pionu, bez którego człowiek zawsze błąkać się będzie po manowcach bytu i sensu swego nie odnajdzie.

Taki jest sens i rola Marii w dogmacie. W Niej w pełnym blasku jaśnieje prawda stosunku człowieka do Boga. Każdy chrześcijanin musi sobie taki stosunek wywalczyć. Maria przyszła na świat z naturą niezranioną grzechem. Nasza natura „*vulnerata*" staje się przez uczestnictwo w Mistycznym Ciele Chrystusa — *sanata*. Uzdrowienie jednak nie dokonuje się od razu w chwili Chrztu św. Musimy odbyć drogę mniej lub więcej powolnej przemiany, dlatego nie obca nam jest ta przerażona własnym skażeniem pokora, która dopiero na drodze powolnego przetwarzania się wewnętrznego, na drodze cudownych i tajemniczych oczyszczeń walki i ascetycznych wysiłków, przemienia się w pokorę Marii, rozradowanej ufnym oddaniem się Bogu — zjednoczeniem się z Jego Wolą.

O. R. Kostecki O. P.

„Abyście się społecznie miłowali"...

„To jest przykazanie moje — mówi do nas Chrystus — abyście się społecznie miłowali". To rozkaz a nie rada tylko. Przykazanie miłości wzajemnej należy do istoty etyki chrystusowej. Chrystus podkreśla ją na każdym kroku. Wielką wagę przywiązuje do niego. Wszystko robił, co było w Jego mocy, aby nas nauczyć miłości i aby nam wpoić ważność tego przykazania. Zaznacza, że cechą charakterystyczną, wyróżniającą jego wyznawców, ma być nie co innego tylko miłość wzajemna. Każde zrzeszenie ma znak, po którym poznaje się stowarzyszonych. Takim znakiem zrzeszonych około Chrystusa ma być miłość wzajemna. „Po tym poznają wszyscy, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim" (Jan 13, 35). A więc nie tyle długie modlitwy, ostre umartwienia, liczne praktyki religijne, nie metryka chrztu itp. mają mówić światu, że jesteśmy wyznawcami chrystusowymi, ale miłość ku bliźniemu. Umartwienie, długie modlitwy spotykamy także u wyznawców innych religii. Prawdziwą miłość bliźniego taką, jaką Chrystus nas umiłował, można znaleźć tylko u Jego wyznawców.

Bezwzględność i powszechność przykazania miłości bliźniego.

Przykazanie miłości jest bezwzględne. Nie dopuszcza żadnych odchyleń, zmian, dyspensy. Można w pewnych okolicznościach otrzymać zwolnienie od przykazań pozytywnych, wydanych czy to przez Kościół, czy przez władze świeckie, nigdy natomiast od przykazania miłości wzajemnej. Jest to przykazanie powszechne tak co do czasu, jak i miejsca. Obowiązywało przed tysiąc laty tak samo, jak i dzisiaj. Obowiązywać będzie także po tysiącu lat. Obowiązuje wszystkich bez wyjątku na całej kuli ziemskiej.

Słowa Chrystusa: „To wam przykazuję, abyście się społecznie miłowali", winny ustawicznie brzmieć w naszych uszach. Nie wolno nam nigdy ani na moment o nich zapominać, jeśli chcemy prawdziwie a nie tylko z imienia być wyznawcami chrystusowymi.

„Przykazanie nowe

daję wam, abyście się społecznie miłowali, jakom was umiłował, abyście i wy społem się miłowali".

Chrystus przykazanie miłości bliźniego nazywa nowym. Nowym nie w tym znaczeniu, jakoby ono nie było wcale znane w Starym Zakonie. Owszem, jest tam mowa o miłości bliźniego (Lew. 18, 18). Przykazanie podane przez Chrystusa jest nowe co do ducha, jaki ma je ożywiać. W Starym Zakonie zachowuje się to przykazanie z bojaźni kary Bożej. Chrystus natomiast chce, byśmy się wznieśli wyżej. Byśmy się miłowali jako ci, którzy otrzymali „nie ducha niewolnictwa ku bojaźni, ale ducha przybrania za synów", czyli

jako dzieci wspólnego Ojca. Jak zaznacza Doktor Anielski, przykazanie miłości wzajemnej istniało w Starym Zakonie nie jako coś właściwego Staremu Prawu, lecz jako przygotowanie do Nowego Prawa.

Cel innych przykazań.

Miłość bliźniego jest celem innych przykazań. Bo cały Zakon w tym jednym słowie się wypełnia: „Będziesz miłował bliźniego swego jak siebie samego“ (Gal. 5, 14). „Kto miłuje bliźniego, ten wypełnił cały Zakon“ (Rzym. 13, 8). Trzeba rozróżniać rzeczy ważne od mniej ważnych i nie stawiać tego, co jest środkiem, na miejscu celu, a tego co jest celem nie zniżać do rzędu środka. Tego rodzaju postępowanie w życiu religijnym sprowadza fatalne skutki tak u tych co tak postępują, jak również u patrzących zewnątrz. Miłość bliźnego jest celem.

Inne przykazania i nakazy są środkami, mającymi nam dopomóc do zachowania miłości wzajemnej. Byłoby niezrozumieniem ducha chrystusowego i równocześnie ponieślibyśmy wielką szkodę w życiu wewnętrznym, gdybyśmy oddawali się z wielką gorliwością praktykom pobożności a nie mieli serca dla bliźnich. Narazilibyśmy się na surowe „biada wam“ ze strony Chrystusa, podobnie jak rzecz się miała z faryzeuszami i doktorami Starego Zakonu. Jak wiemy, faryzeusze bardzo skrupulatnie zachowywali przepisy prawa zakonnego, mimo to Chrystus jest wobec nich surowy. I to ten sam Chrystus, który miał tyle wyrozumienia dla grzeszników. Czytajmy 23 rozdz. Ewang. św. Mat. Słyszymy tak ośmiokrotne „biada wam“. Dlaczego? Bo „opuścili to co najważniejsze jest w Zakonie: sąd, miłosierdzie i wiarę“ (Mat. 23, 23). Po prostu dla braku miłości względem bliźnich.

Miłość sprawdzianem pobożności.

Podejrzana jest pobożność, jeśli nie ma w niej miłości bliźniego, albo przynajmniej, jeśli nie prowadzi do niej. „Jeśli się chcesz przekonać co warta jest pobożność twoja czy bliźnich, przyłóż termometr do jego bratniej miłości. Jeśli prawdziwa miłość ku drugim to i pobożność nieudana... A jeśli jego miłość jest bez wartości, jeśli jest uparty, zadziera zbyt nosa, pochopnie innych potępia, nie umie wyrozumieć ich słabości i grzechu, wtedy i jego pobożność jest jeszcze bardzo słabiutka albo chora, albo wykrzywiona, albo jest łudzeniem siebie samego, albo po prostu obłudą“ (Fiedler: Nowy człowiek, rozdz. 6).

Należy więc pobożność swoją mierzyć nie ilością odmówionych pacierzy, wysłuchanych Mszy św., przeczytanych pobożnych książek, ale miłością ku bliźnim. Jeśli praktyki religijne nastawiają nas coraz lepiej względem bliźniego, to znak, że w należyty sposób je wykonujemy. Gdybyśmy natomiast zauważyli, że wykonywując je, nadal jesteśmy nieczułymi, nieżyczliwymi dla bliźnich, byłoby

to znakiem niedobrego stanu naszej duszy. Po miłości bliźniego poznaje się prawdziwą pobożność.

Miłość chrześcijańska.

Ważność miłości bliźnego jest oczywista dla każdego. Nikt chyba nie będzie jej kwestionował. Pismo św., Święci, cała Tradycja Kościoła podkreślając bardzo dobitnie naczelną rolę miłości w etyce chrześcijańskiej.

Nie wystarczy jednak zdawać sobie sprawę z jej ważności. Trzeba również wiedzieć, jak ją praktykować. Słowem, jaką miłością kochać bliźniego. Można bowiem w rozmaity sposób kochać innych. Są różne rodzaje i odcienia miłości. Można bliźniego kochać dlatego, że jest dla nas miłym, dobrym, sympatycznym. Można też wznieść się i wyżej i kochać go po chrześcijańsku, tak jak Chrystus nas umiłował. „To jest przykazanie moje, abyście się miłowali, jakom ja was umiłował“ (Jan 15, 12). Miłować bliźniego na wzór miłości chrystusowej, znaczy M i ł o w a ć g o d l a B o g a i przez wzgląd na Boga, czyli m i ł o w a ć B o g a s a m e g o w b l i ź n i m.

Dwa przykazania — jedna cnota.

Miłość bliźniego ma płynąć z miłości Bożej. Ma być rozszerzeniem, jakby wylaniem miłości Boga, na to wszystko co jest Boże. Boga mamy miłować dla Jego wewnętrznej dobroci. Dobroć Boża jest źródłem wszelkiej dobroci stworzonej. Każda rzecz stworzona uczestniczy w pewnej mierze w dobroci Bożej. Przede wszystkim uczestniczą w niej stworzenia rozumne: aniołowie i ludzie. Najpierw przez swój byt naturalny a następnie przez łaskę. Kochając Boga, winniśmy równocześnie miłować to wszystko, co jest Boże. Przede wszystkim bliźniego, który przez łaskę uświęcającą dostąpił wielkiej godności dziecka Bożego. Podchodząc do bliźnich trzeba w nich widzieć nie tylko zwyczajne stworzenia, ale coś więcej, mianowicie dzieci Boże i jako dzieci Boże miłować. Miłość bliźniego w ten sposób pojęta jest właściwie tą samą miłością, co i miłość Boga. Jest to ta sama cnota. Mamy tu wprawdzie dwa różne przedmioty: Boga i bliźniego. Ponieważ jednak bliźniego kochamy dla Boga, te dwa przedmioty stają się właściwie jednym. Jest nim Bóg sam w sobie i ten sam Bóg kochany w bliźnich. Chrystus wygłaszając przykazanie miłości, oddzielił te dwa przedmioty. Uczynił to dlatego, byśmy łatwiej je zrozumieli i zapamiętali. Nie chciał bynajmniej oddzielać od siebie tych dwóch miłości. Zawsze bowiem, kiedy mówi o miłości, utożsamia się z bliźnim. „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci najmniejszych, mnieście uczynili“ (Mat. 25, 40).

Miłość bliźniego nadprzyrodzona jest trwała i bezinteresowna.

Miłość bliźniego, o ile wyrasta z miłości Bożej, staje się trwałą i bezinteresowną. Kochając innych dlatego, że są dziećmi Bożymi,

nie zrazimy się do nich nigdy. Nawet wtedy, gdyby okazali się dla nas niewdzięcznymi. Mogą zajść wypadki, że bliźni nie tylko nie oceni naszej życzliwości, ale nawet odpłaci się nam złym za dobre. Nawet wówczas nie przestaniemy go miłować. On wprawdzie przez swe uczynki nie będzie zasługiwał na miłość z naszej strony, lecz Bóg, którego w bliźnim widzimy, zawsze będzie jej godzien. Tak właśnie miłowali święci. Należy odróżnić bliźniego od jego osoby. Do błędów w bliźnim można, nawet nieraz trzeba odnosić się z nienawiścią, lecz do osoby zawsze z miłością. Widząc Boga w osobie bliźnich nie przestaniemy nigdy darzyć ich miłością.

Dlaczego przyjaźnie ludzkie są nieraz tak kruche i nietrwałe? Dlaczego niektórzy dzisiaj miłują swych bliźnich, a za chwilę ta miłość gaśnie albo przeradza się w niechęć, a czasami nawet w nienawiść? Prosta odpowiedź! Bo jest oparta na podstawach czysto przyrodzonych, na interesowności, przyjemności, wrażeniach. Pobudka przyrodzona, choćby najszlachetniejsza, nie zawsze wytrzymuje próby, na jakie wystawiona bywa miłość bliźniego. Nie można kochać dłuższy czas innych, nie mając miłości Bożej. Nie potrafimy zwalczyć trudności, z jakimi spotyka się w życiu miłość bliźniego, jeśli nie będziemy mieć oparcia o miłość Bożą.

Dwie strony przykazania.

Przykazanie miłości bliźniego domaga się od nas dwóch rzeczy: unikania tego co szkodzi bliźniemu, oraz czynienia mu dobrze. Są więc w tym przykazaniu jakby dwie strony: negatywna i pozytywna.

Negatywna strona.

Przez swą stronę negatywną miłość zabrania szkodzić bliźniemu. Można to uczynić w najrozmaitszy sposób. A więc nie tylko uczynkiem ale i słowem a nawet myślą. Nienawiść, niechęć, zazdrość. niezgoda, kłótnie, zgorszenie, pomaganie w złym wszystko to są wykroczenia przeciwne miłości bliźniego. Zwłaszcza trzeba zwrócić uwagę na przeciwieństwo miłości, na nienawiść. I to nie tylko na nienawiść wyraźną, zupełnie świadomą i dobrowolną. Podobna nienawiść byłaby wykroczeniem wielkim. Należy się strzec nawet drobnych niechęci, antypatii, bo one są wielką przeszkodą w życiu wewnętrznym. Najdrobniejsza niechęć do bliźniego, podtrzymywana świadomie w duszy, tamuje dopływ łask. Pan Bóg nie odda się całkowicie duszy, jeśli ta nie usunie choćby najmniejszych niechęci względem innych. Trzeba więc kontrolować bardzo dokładnie duszę, by przypadkiem nie zakradło się do niej jakieś uczucie sprzeczne z miłością. Byłoby jeszcze gorzej, gdyby ono uzewnętrzniło się i gdybyśmy w życiu powodowali się niechęcią czy antypatiami.

Również należy zwracać uwagę na to, by nie dać nigdy bliźniemu okazji do złego. Nie gorszyć go. Czyn lub słowa niewłaściwe

mogą wpływać ujemnie na wolę bliźniego, osłabiając ją w dobrym lub skłaniając do złego. Takie oddziaływanie krzywdziłoby bliźniego pod względem duchowym. Znane nam są słowa Chrystusa, wyrzeczone pod adresem gorszycieli.

Pozytywna strona.

Nie szkodzić bliźniemu to jeszcze nie wszystko. To negatywna strona przykazania miłości. Chrystus to przykazanie wyraził w sposób pozytywny. Żąda od nas, byśmy się miłowali wzajemnie. „To jest przykazanie moje, abyście się wzajemnie miłowali". Miłować to chcieć skutecznie dobra dla bliźnich. Czynić dobrze bliźniemu. Oto czego damaga się od nas Chrystus.

Aby dobrze czynić najpierw trzeba mieć w głębi duszy miłość. Życzliwość względem bliźnich to istotna rzecz w miłości. Od tego należy zaczynać. Nie każdy i nie zawsze ma możność praktykować miłość zewnętrznie. Każdy natomiast może w głębi duszy być życzliwie nastawiony dla innych. Życzliwość wewnętrzna ma być źródłem czynów zewnętrznych. Gdy ona w duszy będzie, siłą rzeczy uzewnętrzni się przy najbliższej okazji. Bo miłość prawdziwa to energia popychająca do czynu. Na to nastawienie życzliwości trzeba kłaść wielki nacisk. Najpierw wyrobić je w sobie, następnie potęgować je coraz więcej. Za nim pójdzie czyn. Mając życzliwość, w miarę możności i warunków, w jakich żyjemy, należy ją okazywać czynami. Gdybyśmy ograniczali się do samej wewnętrznej życzliwości i gdyby ona nigdy nie przeszła w czyn, bardzo należałoby wątpić o jej prawdziwości i szczerości.

Porządek w miłości.

Przy praktyce miłości należy zachować pewien porządek. Bóg życzy sobie byśmy wszystkich miłowali, nie żąda jednak by wszystkich w jednakowej mierze. Praktykując miłość musimy zwracać uwagę na zachowanie pewnego porządku. Trzeba tu uwzględnić dwie rzeczy: wartość moralną bliźniego, czyli jego bliskość Boga, oraz naszą łączność z bliźnim, czyli bliskość nas. Im dany bliźni jest bliższym Boga, czyli im jest lepszy, zasługuje na większą miłość szacunku z naszej strony. Im znów ktoś jest bliższy nas czy to przez związki krwi, czy przyjaźni, tym więcej mamy mu okazywać miłość uczucia i czynu. Nie byłoby w porządku, gdybyśmy np. więcej szanowali człowieka o małej wartości moralnej niźli człowieka świętego, albo gdybyśmy więcej okazywali serdeczności osobie obcej niźli własnej matce czy siostrze, gdybyśmy więcej dobrze czynili obcokrajowcowi niźli rodakowi. Zastosowanie w praktyce powyższych zasad może czasami nastręczyć nam pewne trudności. Wtedy należy uciec się do roztropności nadprzyrodzonej, która powie nam jak w danym wypadku należy postąpić. Miłość nadprzyrodzona jest roztropna.

Wnioski praktyczne.

Mając w sobie nastawienie życzliwości, idźmy do czynu, dbajmy nie tylko o to, by nie szkodzić bliźniemu, ale by dobrze czynić dokoła siebie. Oddawajmy siebie innym. Stawiajmy siebie (mówi O. Faber) na miejscu bliźniego i tak do niego starajmy się odnosić, tak się z nim obchodzić, tak się nim interesować, jakgdyby to była nasza osoba. Starajmy się uprzyjemniać życie innym. Rzecz oczywista, zawsze w granicach prawa Bożego. Być tym dla otoczenia, dla rodziny, koleżanek, przyjaciół a nawet dla tych, z którymi tylko przygodnie się spotykamy, czym jest ciepło słoneczne dla przyrody. Starajmy się wprowadzać wszędzie atmosferę życzliwości, zgody, pogody, pokoju, radości. Im więcej będzie w społeczeństwie ludzi miłujących się należycie, tym życie społeczne będzie milsze. Nic tak nie zatruwa życia innym, jak brak miłości. I na odwrót, nic tak nie osładza trudności życiowych, jak wzajemna miłość. Dlatego właśnie Chrystus tak wielki położył nacisk na miłość wzajemną.

Idźmy tu za Chrystusem! Bądźmy Jego odbiciem! Niech zapach miłości chrześcijańskiej promieniuje na wszystkich, z którymi się spotykamy w życiu codziennym. Róbmy wszystko, by w życiu celować miłością wzajemną. Po niej niech nas inni poznają, żeśmy uczniami Chrystusa. Aby tej miłości nabyć, trzeba nieraz o nią bardzo długo walczyć. „Nie sądźcie — pisze św. Teresa — (Twierdza wewnętrzna, Mieszk. 5, rozdz. 3), by nabycie miłości nic nas kosztować nie miało, by przyszła nam gotowa jak pieczone gołąbki do gąbki. Pomnijcie, ile Boskiego Oblubieńca Naszego kosztowała miłość, którą nas umiłował, jako dla wybawienia nas od śmierci, sam poniósł śmierć i to taką okrutną śmierć na krzyżu".

Nasz wzór.

Maria ze wszystkich najlepiej zrozumiała myśl Chrystusa, zawartą w przykazaniu miłości i najdoskonalej ją zrealizowała w swym życiu. O Jej miłości względem wszystkich nas nie może być najmniejszej wątpliwości. Umiłowała nas i miłuje dotychczas przez wzgląd na Chrystusa. Chrystus dla nas i dla naszego zbawienia przyszedł na świat. Maria pojmowała doskonale, jak bardzo nas umiłował Chrystus i jak gorąco pragnie naszego zbawienia. Słowem, jak bardzo drogimi jesteśmy Jego Sercu. I dlatego Ona tego samego pragnie dla nas. Miłość Jej względem nas idzie tuż po miłości Chrystusowej. Jej najgorętszym życzeniem jest, byśmy wszyscy skorzystali z owoców męki Jej Syna i byśmy zbawili nasze dusze. Z chwilą kiedy stała się Matką Chrystusa, została również naszą Matką duchową. Ma dla nas więcej niż miłość bliźniego. Ma miłość macierzyńską. Dlatego z ufnością dziecięcą liczmy zawsze na Jej pomoc i opiekę w życiu duchowym.



O. Ludwik od Trójcy Św. K. B.
Prowincjał Karmelu Francuskiego*)

Święta Teresa od Dzieciątka Jezus w duchownym życiu Karmelu

Mała Teresa z Lisieux? Któż jej nie zna lub przynajmniej nie sądzi, że zna? Z drugiej strony któż pomyślał o tym, by podkreślić, jak wybitne miejsce zajmuje ona w duchowej tradycji swego Zakonu. Temu zagadnieniu poświęcamy niniejszą rozprawę.

Teresa Martin nie skończyła jeszcze lat dziewięciu, gdy pewnego dnia dowiedziała się, że Paulinka, jej ukochana „mateczka", wstępuje do Karmelu. Z całą czułością starsza siostra tłumaczy dziecku, czym jest życie klasztorne. „I otóż pewnego wieczora, pisze Teresa, gdy byłam sama i przypominałam sobie obraz, jaki mi skreśliła, odczułam, że Karmel jest to pustynia, gdzie i mnie Bóg ukryć pragnie. Odczułam to bardzo mocno, bez cienia wątpliwości, nie było to marzenie dziecinne, lecz pewność wezwania Bożego"[1]). Przyszłość poświadczyła głębię tego tak wczesnego powołania. Bóg chce mieć Teresę w Karmelu, nie gdzieindziej. Chce mieć ją świętą na wzór Świętych Karmelu. Chce, żeby Teresa z Lisieux przez swe życie i swą doktrynę była *żyjącą syntezą* nauk swych znakomitych Rodziców i przodków w Karmelu.

Gdybym miał określić *ducha* młodziutkiej zakonnicy, powiedziałbym, że polegał on:

1) Na wspaniałym wypełnieniu w swym życiu Karmelitanki *ideału apostolskiego* wielkiej Teresy z Avila oraz *myśli przewodniej* Jana od Krzyża.

2) Na wyrażeniu po prostu w swej misji doktrynalnej *istoty* duchowego życia Karmelu, czyniąc ją tym samym przystępną dla wszystkich.

Jest to właściwością niektórych geniuszów, że przeniknąwszy głębiej niż inni nauki swych mistrzów, łączą harmonijnie różnorodne bogactwa w jednym, wzniosłym ujęciu.

Są uproszczenia i są rodzaje prostoty, noszące na sobie piętno Boże. Tak jest u świętej Teresy od Dzieciątka Jezus. Nie dość pamiętamy, że prostota jest pierwszym z przymiotów Bożych. Nic ona nie ma wspólnego z tą naiwnością lub zbytnią otwartością, jakim czasem nadaje się miano prostoty.

Będąc w całej pełni córką swego Zakonu, Teresa od Dzieciątka Jezus korzysta skwapliwie z cennej spuścizny, jaką jej przynosi wiekowa jego tradycja. Oszczędza sobie w ten sposób osobistych prób i chodzenia

---

*) O. Ludwik —Thierry d'Argenlieu — admirał floty, jeden z najdzielniejszych dowódców marynarki francuskiej podczas wojny(1939-1946), obecnie Wysoki Komisarz Francji w Indochinach. Artykuł napisany w r. 1939.

[1]) Dzieje duszy.

po omacku. Następnie, wierna Duchowi, który ją prowadzi *drogą swoją*, drogą dziecięctwa duchowego, wyzwala tę drogę z akcesoriów, z wszelkiej uczonej komplikacji, wszelkiej, jak dowcipnie powiedziano „matematyki“ i wreszcie *po mistrzowsku* ją określa.

By pogląd ten uzasadnić, zwróćmy się najprzód do najwyższej w Kościele powagi. Posłuchajmy głosu Papieży, którzy oficjalnie uznali i zatwierdzili posłannictwo doktrynalne małej Teresy.

Oto słowa Benedykta XV w pełnej znaczenia przemowie, jaką wygłosił przy ogłoszeniu dekretu o heroiczności naszej Świętej:

„Nie nabyła wysokich nauk, chociaż należała do Zakonu, w którym aureola doktorów opromienia nawet i niewiasty; niemniej sama z siebie tyle posiadała wiedzy, że mogła innym nawet wskazywać drogę zbawienia“... [2]).

Pochwałę tę powtórzył Pius XI, gdy powiedział o Teresie, „że nabyła takiej znajomości rzeczy nadprzyrodzonych, iż mogła znaczyć innym pewną drogę zbawienia“... [3]). Tą pewną „drogą zbawienia“, której uczyła, to „dziecięctwo duchowe“, w którym — dodaje Pius XI — okazała się mistrzynią“ [4]).

Zatwierdzając w ten sposób kategorycznie jej prawa do pośmiertnego mistrzostwa, Kościół wiąże takowe z tradycją jej Zakonu. Liturgia — ten język oficjalny, wkłada nam w usta następujące słowa, skierowane do małej Tereni:

Ty duchem żyjesz Czcigodnej twej Matki
I blaskiem jej świecisz imienia,
A miłość Boża ogniem swym palącym, płonie
tak w niej, jak i w tobie. (Hymn z Jutrzni).

Trudno wykazać lepiej duchowy węzeł rodzinny, istniejący między matką a córką. Jeśli otworzymy album, w którym Karmel z Lisieux zebrał wspomnienia z beatyfikacji, znajdziemy tam zapisaną pochwałę, jaką pismo *El Carmelo* z 15 października 1923 roku, pozdrawia w Teresie dziecię, będące „*duchem z ducha i sercem ze serca*“ Dziewicy z Avila.

Gdy chodzi o świętego Jana od Krzyża, dowody są jeszcze liczniejsze: „Ach, ileż światła czerpałam z dzieł świętego Jana od Krzyża“ woła Teresa w rozdziale VIII swej autobiografii. „W siedemnastym i osiemnastym roku życia nie miałam innego pokarmu...“ Ileż to razy cytuje go, zwłaszcza w swych listach. To samo mówi o niej Ojciec Święty Pius XI w dniu kanonizacji:

„Z lekcji katechizmu czerpała obficie czystą naukę wiary, ascezę ze złotej książki O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa, mistykę wreszcie z pism Ojca swego, świętego Jana od Krzyża“.

Nie myślmy jednak, że przez czerpanie z takich źródeł umniejszyła się potężna oryginalność mądrej panny z Lisieux. Oto co dalej mówi Pius XI:

---

[2]) Przemówienie z dnia 14 sierpnia 1921.
[3]) Homilia podczas Kanonizacji 17 maja 1925.
[4]) Acta Apostolicae Sedis, 1923, str. 283, List do Kard. Vico z 14 maja 1923.

„Nade wszystko jednak karmiła swój umysł i serce pilnym rozważaniem Pisma świętego, a Duch prawdy pouczał ją o tym, co zwykle zakrywa przed mądrymi i roztropnymi a objawia maluczkim".

Mistrzem w całej pełni małej Teresy jest Duch Święty i pod jego to bezpośrednim kierownictwem umiała wydobyć z tradycyjnej doktryny Karmelu nieznane dotąd klejnoty przedziwnego blasku.

I czemuż nie podnieść tu jasności i umiaru w jej sposobie myślenia, tak nawskroś francuskiego, w przeciwieństwie do wzniosłości i bezpośredniości temperamentu kastylijskiego. Kontrast ten nie ujmuje nic geniuszom, o których mowa, raczej je uwypukla. By zakosztować w pełni wdzięku zieleniejących wzgórz Francji, dobrze jest przedtem spocząć przez czas dłuższy wzrokiem na złocistym stepie Kastylijskiej wyżyny.

I.

Teresa z Lisieux wypełnia wspaniale w swym życiu Karmelitanki ideał apostolski i myśl przewodnią Jana od Krzyża.

Zdanie to wydaje mi się oczywistym.

A) Reformatorka Karmelu zapaliła w sercu swego Dzieła płomień żaru apostolskiego. Dla zbawienia dusz pragnęła odnowić obserwę zakonną, przywrócić surową prostotę życia pustelniczego. Jej życie, jej pisma tchną ogniem żarliwości.

Wszak pamiętamy tę słynną przestrogę, jaką Święta daje swym córkom u wstępu *Drogi doskonałości:*

„Ten jest cel, do którego zmierzać mają wasze modlitwy, pragnienia i umartwienia; gdybyście zatem w innym zamiarze je spełniały, wiedzcie, że równałoby się to niedopełnieniu celu, dla którego was tu zgromadził Boski Oblubieniec".

Co do małej Teresy nic więcej ją nie porusza, nie czyni ją wymowniejszą, jak ta sprawa zbawienia dusz. Dlaczego w piętnastej swej wiośnie przyszła do Karmelu? Odpowiedź tak prosta, tak jasna: „Przyszłam, aby zbawiać dusze, a zwłaszcza, by modlić się za kapłanów".

Wtenczas zrozumiemy całą głębię, kryjącą się w tym wyznaniu, złożonym przy egzaminie kanonicznym przed profesją, gdy zestawimy je z tym, co Siostra Teresa napisała dla Matki Agnieszki od Jezusa w rozdziale V Dziejów duszy. Jest to jeden z najbardziej wzruszających ustępów jej autobiografii:

„Pewnej niedzieli, gdy pod koniec Mszy świętej zamykałam książkę do nabożeństwa, wysunął mi się z pomiędzy kartek obrazek, przedstawiający Pana Jezusa na Krzyżu, tak, że widziałam tylko jedną Boską rękę przebitą i zakrwawioną. Ogarnęło mnie wtedy uczucie nowe, niewypowiedziane. Serce mi pękało z bólu na widok tej Krwi Przenajdroższej, spływającej na ziemię, podczas, gdy nikt nie spieszył, by ją zebrać; postanowiłam wtedy trwać w duchu pod Krzyżem, przyjmować tę niebieską rosę zbawienia i wylewać ją na dusze".

Jak głębokim było to dotknięcie łaski, świadczy następujące wyznanie:

„Od tej chwili brzmiało mi nieustannie w sercu wołanie Pana Jezusa: „Pragnę“ (św. Jan 19, 28) i zapalało mnie nową żarliwością. Chciałam napoić ukochanego Zbawiciela, czułam, że i mnie trawi pragnienie zbawienia dusz, wyrwania za wszelką cenę grzeszników z płomieni piekielnych“.

Skazanie i śmierć zbrodniarza Pranzini'ego zaktualizowały jej gorliwość i pobudziły do czynu. Chciała zbawienia tej duszy, tak jak Bóg sam pobudza świętych, by chcieli. Otrzymała znak upragniony. Ze strony Boga jest to dla tej czternastoletniej dziewczynki wewnętrzne i tajemnicze potwierdzenie jej misji ratowania dusz.

„Co za przedziwna odpowiedź! Odtąd moje pragnienie zbawiania dusz wzmaga się z dniem każdym; zdaje mi się, jakobym słyszała Jezusa mówiącego, jak ongi do Samarytanki: „Daj mi pić“ (św. Jan 4, 7). Była to prawdziwa zamiana miłości: w dusze wlewałam Krew Jezusa, a Jezusowi ofiarowywałam te same dusze, ożywione rosą kalwaryjską. Myślałam, że w ten sposób ugaszę Jego pragnienie, ale im więcej nad tym pracowałam, tym więcej wzmagała się żarliwość mojej biednej duszy, a to gorące pragnienie było mi najmilszą nagrodą“.

Minęło blisko cztery lata, aż do jej profesji, 8 września 1890 roku, lata, w których pod wielu względami zyskała wiele, zwłaszcza jeśli chodzi o cierpienie. To też w przededniu wielkiego dnia Teresa wypowiedziała te słowa: „Przyszłam do Karmelu, by zbawiać dusze, a zwłaszcza, by modlić się za kapłanów“. W słowach tych, pod formułką dość banalną, kryje się myśl niezmiernej wagi, wyrażenie najprawdziwsze ideału Karmelu, odnowionego przez świętą Teresę z Avila i doprowadzonego do zasadniczej swej linii: *żarliwa ofiara z siebie za kapłanów.*

Święte te pragnienia, zamieniane każdej chwili na uczynki zasługujące, nie przestały wzrastać i pod koniec życia natchnęły małej Karmelitance ten niezwykły rozdział XI, poświęcony jej siostrze Marii. Karty, o których mówiliśmy na innym miejscu [5]), zaliczają się do najpiękniejszych w całej literaturze kościelnej. Określa tam po mistrzowsku własne swe powołanie: „W sercu Kościoła, Matki mojej, będę miłością... tym sposobem będę wszystkim, marzenie moje będzie spełnione“. Teresa, dojrzała już wtedy duchem i świętością, pozwala nam dostrzec nieco z tej głębi bezdennej, jaką była w niej miłość dusz, apostolska żarliwość. Wierna swej drodze dziecięctwa duchowego, czyni żarliwość tę przystępną dla każdego. Przyszła Patronka wszystkich misji katolickich nie ma potrzeby jeździć, głosić kazania, czynić cuda, wystarczy jej sprowadzić miłość do tego, co stanowi nadprzyrodzoną jej istotę i pozwolić Duchowi miłości rozszerzać w sobie do nieskończoności przestwory miłości.

Przez boską prostotę swych dróg udziela im Teresa łaski powszechności.

---

[5]) La fécondité de l'amour... Editions des Annales de Lisieux.

B) *Teresa od Dzieciątka Jezus wypełnia w swym życiu myśl duchową świętego Jana od Krzyża.*

Choć twierdzenie nasze może się zdawać paradoksem, pewni jednak jesteśmy, że wyraża czystą prawdę. Pewni jesteśmy, że pośród tych nieprzejrzanych szeregów dusz, jakie żyły doktryną świętego Jana od Krzyża, żaden z uczniów nie wcielił tak doskonale ideału Mistrza, jak mała Terenia.

Jeśli która doktryna stawia prymat miłości ponad wszelką działalność ludzką, to bez wątpienia ta, którą głosi autor „*Pieśni duchowej*" i „*Żywego Płomienia*".

„Jest ogromną korzyścią dla duszy spełniać w tym życiu akty miłości, przez które strawiwszy się wkrótce, nie zatrzyma się tu długo bez oglądania Boga"[6]).

„Gdzie nie ma miłości, daj miłość a zbierzesz miłość"[7]).

Sposób zrealizowania tego programu miłości jest pewny, szybki, bezpośredni — to „prosta i pewna droga" całkowitego ogołocenia, czyli oderwania. Droga ta wiedzie na szczyt góry miłości, bez odwłoki, bez obawy zbłądzenia. Ten, ktoby ascetyczne wymagania Doktora *Nocy* pojmował inaczej niż w świetle miłości, wypaczyłby zupełnie myśl jego.

Któż zaś lepiej od małej Teresy Martin zgłębił w zaraniu życia tajemnicę miłości, któż więcej niż ona głosił prymat miłości? W tej samej więc mierze, któż dalej posunął praktykę oderwania duchowego? Umyślnie używam „oderwania duchowego", bo w charakterze wybitnie duchowym jej aktów wyrzeczenia, rozpoznaję jeden rys podobieństwa więcej ze świętym Janem od Krzyża. Materiał ascetyczny Teresy redukuje się do minimum, to jest do obserwy zakonnej, aby duch ten więcej miał swobody miłowania i składania nieskończenie delikatnych dowodów miłości.

Lecz posłuchajmy Teresy:

„Oto czego Jezus domaga się od nas. Nie potrzebuje naszych czynów, lecz jedynie naszej miłości"[8]).

I jeszcze:

„Ach, Jezus, chciałabym tak Go kochać, jak nikt Go nigdy nie kochał"[9]).

W rozdziale VIII Dziejów duszy pisze do Matki Agnieszki:

„Teraz już niczego nie pragnę na ziemi, jedynie kochać Jezusa, kochać Go do szaleństwa. Miłość tylko mnie pociąga"...[10]) i przytacza strofy „*Pieśni duchowej*":

„W piwnicy winnej najskrytszej głębinie
Rozkosze Boskie mego Oblubieńca piłam:
Dusza ma tobą zajęta jedynie
Całe me jestestwo twa służba pochłania.

---

[6]) Żywy Płomień miłości I. V. 6.
[7]) Sentencje.
[10]) Dzieje duszy, rozdz. X.

Nie strzegę stada na pastwisk równinie,
I odtąd nie mam innego starania —
Całym moim zajęciem jest słodycz kochania" [11]).

Nieco dalej, otwierając swą duszę przed Matką Przeoryszą Marią Gonzaga, wyraża całą swą myśl:

„Ty wiesz, o Panie, że jedynym moim pragnieniem jest zawsze Ciebie tylko miłować, nie ubiegam się o żadną inną chwałę. Miłość Twoja uprzedziła mnie od dzieciństwa, wzrastała ze mną, a teraz jest to przepaść, której głębokości zmierzyć nie zdołam. Miłość przyciąga miłość, serce moje wyrywa się do Ciebie, chciałoby wypełnić przepaść twej miłości"... [12]).

Ustęp ten mówi bardzo wiele, lecz dalej dziwniejsze jeszcze następują wyznania:

„O mój Jezu, zdaje mi się, że żadnej chyba duszy nie mógłbyś obdarzyć miłością większą od tej, jaką na mnie zlałeś"... [13]).

Słowa te nie padły bezwiednie na papier, Teresa bowiem wraca do tej myśli:

„Tu na ziemi nie mogę wyobrazić sobie miłości większej nad tę, którą spodobało się tobie obdarzyć mnie, bez żadnej zasługi mojej" [14]).

W Księdze Mądrości czytamy co następuje (mowa tu o sprawiedliwym): „Stawszy się za krótki czas doskonałym, przeżył czasów wiele. Dusza jego upodobała się Bogu, dlatego pospieszył Pan wywieść go spośród nieprawności" [15]).

Święty Jan od Krzyża przytacza *w Żywym Płomieniu* ten uderzający ustęp i kończy przestrogą, by w tym życiu czasu nie tracić, lecz ćwiczyć się z całą usilnością w czystej i świętej Miłości.

On, który zawsze był świętym i umarł w najwznioślejszym akcie miłości, licząc czterdzieści dziewięć lat życia, jak musiał z wyżyn nieba miłować małą Karmelitankę z Lisieux, która *od trzeciego roku życia* niczego Bogu nie odmówiła, oddała się wyłącznie miłości, „stawszy się za krótki czas doskonałą", do dwudziestego czwartego roku życia „przeżyła — według słów Mędrca — czasów wiele", o czym świadczy niezwykła jej świętość i niepojęte wprost promieniowanie jej z poza grobu.

Trzeba to wszystko rozważyć, by domyślić się, jakim był ów ostatni akt miłości małej Tereni: „O mój Boże, kocham cię".

Posłuchajmy słów Doktora mistycznego, stosujących się tak dobrze do Teresy od Dzieciątka Jezus:

„Śmierć naturalna dusz, przychodzących do tego stanu (opisanego w strofie I *Żywego Płomienia*), chociaż jest podobna do innych przez swe działanie na naturę, to jednak, co do swej przyczyny i sposobu, jest zupełnie różna. Bo gdy inni umierają śmiercią, spowodowaną chorobą czy wiekiem, to one, choć umierają także w chorobie, czy dopełnieniu się lat, jednak nie to odłącza ich duszę od ciała, lecz głębokie uderzenie i zalew miłości, o wiele większej niż poprzednio, potężniejszej i silniejszej, tak, iżby mogła zerwać zasłonę i unieść perłę duszy".

---

[11]) Pieśń duchowa, strofa. [12]) Dzieje duszy, rozdz. X. [13]) Tamże. [14]) Tamże.
[15]) Mądr. IV, 13 i 14.

Zdaje nam się, że więcej dowodów nie trzeba. Miłość była wielkim ćwiczeniem, wielkim polem działalności Teresy. Lecz nie zamykajmy oczu na drugą stronę zagadnienia. Tej grze miłości towarzyszyło całkowite oderwanie. Wystarczy przytoczyć kilka rysów aż nazbyt wymownych.

Pierwsze rozdziały autobiografii świadczą o rzadkiej i tkliwej miłości, jak w tym ognisku rodzinnym jednoczyła wszystkie serca, zwłaszcza zaś o głębokim wewnętrznym związku między Teresą a siostrą jej Pauliną, później w Karmelu, gdzie wstąpiła pierwsza, Agnieszką od Jezusa. Za nią poszła najstarsza z rodzeństwa, Maria, w Zakonie Maria od Serca Jezusowego, wreszcie Celina, czyli Siostra Genowefa od Najświętszego Oblicza.

Ten, kto nie zna życia zakonnego, może sądzić, że spotkanie się w Karmelu ze starszymi siostrami, było dla naturalnych uczuć Tereni niemałą pociechą. Może w ciasnym obrębie klauzury odżyje życie rodzinne a z nim słodka wymiana myśli? Odpowiedź dają nam *Dzieje duszy:*

„Ponieważ samotność i milczenie są ściśle w klasztorze przestrzegane, (Teresa) widywała swe siostry tylko podczas rekreacji. Gdyby była mniej umartwioną, mogłaby była nieraz usiąść przy nich, wybierała jednak raczej towarzystwo zakonnic *„mniej ją pociągających"*, tak, że nie można było poznać, czy ma dla sióstr swoich szczególniejsze jakie uczucie" [16]).

Niezwykłe to świadectwo, zwłaszcza, gdy się weźmie pod uwagę, że w życiu zgromadzenia błąd nie uchodzi niepostrzeżenie, z powodu nieustannego stykania się zakonnic przy aktach wspólnych, w urzędach klasztornych i przy innych zajęciach.

Wybierać towarzystwo zakonnic mniej sobie miłych, to akt cnoty, jaki każda spełni od czasu do czasu, przy sposobności; ale wziąć to sobie za zasadę i trzymać w ten sposób na wodzy swe uczucia, uderzenia swego serca, przy takiej nadwrażliwości, przy sercu tak tkliwie kochającym, jak miała Terenia, i to, gdy miała tak blisko, tak łatwo dostępne istoty tak bardzo ukochane, to dowód heroicznego wyrzeczenia, tym cenniejszego, że głęboko wewnętrznego i ukrytego. Przychodzi tu na myśl pierwsza Przestroga *Doktora de los Martires:*

„Jeżeli zakonnik chce dojść w krótkim czasie do świętego skupienia, uciszenia wewnętrznego, ogołocenia i ubóstwa ducha, gdzie kosztuje się słodkich pociech Ducha Świętego i zjednoczenia z Bogiem... winien z całą ścisłością spełnić niżej podane wskazanie:

„trzeba, by wszystkich zarówno miłował i o wszystkich zarówno starał się zapomnieć, czy to są krewni, czy nie, i oderwać swe serce od jednych, jak i od drugich; pod pewnym względem więcej jeszcze od krewnych, niż od innych, z obawy, by ciało i krew nie ożywiały się wraz z miłością naturalną, zawsze wielką między krewnymi i którą zawsze należy powściągać, jeśli chcemy osiągnąć doskonałość duchową" [17]).

---

[16]) Dzieje duszy, rozdz. XII. [17]) „Przestrogi duchowne" św. Jana od Krzyża.

Wielebnej Matce Agnieszce od Jezusa zawdzięczamy następujący, bardzo charakterystyczny szczegół:

„Służebnica Boża dała mi swój zeszyt na moje imieniny, 20 stycznia 1896 roku. Byłam na modlitwie wieczornej. Podchodząc do swojej stalli, Siostra Teresa od Dzieciątka Jezus uklękła i podała mi swój skarb.

Odpowiedziałam jej skinieniem głowy i położyłam rękopis na stalli, nie otwierając go. Przeczytałam go dopiero po wyborach, jakie miały miejsce tego samego roku na wiosnę. Zauważyłam cnotę Służebnicy Bożej, która spełniwszy akt posłuszeństwa, o nic więcej nie troszczyła się i nigdy nie zapytała, czy przeczytałam jej zeszyt i co o nim myślę. Pewnego razu powiedziałam jej, że nie miałam czasu, by doń zaglądnąć; nie okazała z tego powodu najmniejszej przykrości“ [18]).

Teresa doskonale zdawała sobie sprawę z duchowej wartości swego pamiętnika. Zupełnie oderwana od siebie i od wszystkiego, nie wyłączając rękopisu *Dziejów duszy*, słowa nie powiedziała, nic się nie dowiadywała, nie posłużyła się żadnym z tych małych sposobów, które świadczą, że i u dusz bardzo cnotliwych natura wielce jeszcze bywa żywotna. Łatwo zrozumieć, że Matka Agnieszka zaznaczyła ten dowód doskonałego oderwania swej siostrzyczki. Odsłania on tak bardzo właściwości Teresy z Lisieux, delikatność jej miłości. Wszystko tu uduchowione, wszystko ukryte.

Dziewica awilańska spaliła swój komentarz do Pieśni na jedno słowo spowiednika, którego ten gest wspaniały przejął podziwem i zmieszał zarazem. Jan od Krzyża, przedzierając się przez góry, każe towarzyszowi podróży rozpalić ognisko. Wrzuca doń woreczek z papierami, spłonęły w jednej chwili. Socjusz dowiaduje się, że są to listy „świętej Matki Teresy“, pisane do wiernego swego ucznia. Patrzał na to, i zdumiony, podziwia ten akt w wielkim stylu.

Epizod manuskryptu *Dziejów duszy* nie miał widza i nic w nim do widzenia nie było. Teresa przynosi Matce Przeoryszy swój zeszycik w chórze zakonnic i zajmuje swe miejsce. Cóż bardziej normalnego, zwykłego? Tak; ale tu chodzi o autobiografię, która miała zapoznać świat cały *z małą drogą* świętej Teresy, drogą dziecięctwa duchowego, o której niedługo Papieże mówić i wysławiać ją będą. Teresa pisała z posłuszeństwa. Spełniwszy takowe, powierzyła resztę w milczeniu Opatrzności Bożej, bez zwrotów na siebie, bez troszczenia się o cokolwiek. Czy dziecko troszczy się, jeśli zawierzyło Bogu? Bóg jest Ojcem. Teresa jest w całej pełni „dziecięciem“. Oto żywa ilustracja do nauk autora *Wnijścia na Górę Karmelu*, o całkowitym wyrzeczeniu się siebie.

(Dok. nast.)



---

[18]) Proces Informacyjny, zeznania W. M. Agnieszki od Jezusa.

Karm. B.

Istota chrześcijańskiej modlitwy

Skoro duchowe życie człowieka jest bogate i złożone, to i modlitwę, jako najpiękniejszy wykwit tego życia cechuje wielka różnorodność form i przejawów. Nie ma dwu modlitw jednakowych, jak nie ma na całym globie ziemskim dwóch jednakowych ludzi. Rysy duchowego oblicza i stan psychiczny człowieka kładą piętno na każdej jego modlitwie. Bóg, stwarzając każdą duszę ludzką z osobna, każdej nadaje znamiona swoiste, które mają uczynić z niej później osobowość, człowieka pełnego i szlachetnego.

I nie przypadek to, że właśnie w naszych czasach wzrastające zainteresowanie się modlitwą idzie w parze z wołaniem o personalizm, z hasłem kształtowania osobowości człowieka. Nie przypadek, bo właśnie modlitwa i przede wszystkim ona stanowi teren, na którym człowiek współdziałając z tchnieniem łaski, wypracowuje prawdziwą swoją osobowość, staje się takim, jakim go Bóg mieć zamierzył.

Przy całej różnorodności przejawów, życie modlitwy rozwija się w duszy wedle pewnych praw niezmiennych, jak niezmiennymi pozostają zawsze dążności duszy oraz całkowita jej zależność od Boga. Zawsze będzie modlitwa koniecznym wyrazem tej zależności, hołdem stworzenia dla Stwórcy, aktem cnoty religii, a więc ostatecznie aktem sprawiedliwości.

Zawsze, jak to widzieliśmy w naszych poprzednich rozważaniach, modlitwa wyrastać będzie z aktu wiary w Boga, który jest obecny, który nas słyszy. Na obecność Boga żywego dusza odpowiada upokorzeniem się, prośbą o pomoc. To wystarcza, aby Bóg począł zaraz pełniej rozwijać swoją działalność, rozbudzając w duszy zbożne pragnienia. Przedstawiać Mu swoje potrzeby i braki, wypowiadać Mu zbożne pragnienia, to znaczy już się modlić.

Energię duchową, zawartą w pragnieniach, zużytkowuje nadzieja chrześcjańska, która, opierając się na niezawodnych obietnicach najwierniejszego Boga, podtrzymuje duszę w dążeniu do Niego. Opiera się ona zwłaszcza na tym objawieniu Boskiego miłosierdzia, jakim jest Chrystus, Głowa ludzkości i Pośrednik między Bogiem a człowiekiem.

Obcowanie człowieka z Bogiem, ograniczające się do tych elementów, zasługuje wprawdzie już na nazwę modlitwy, ale nie wyczerpuje jeszcze jej treści. To wzajemne dążenie Boga i człowieka do spotkania się, jakim jest modlitwa, pragnie jeszcze czegoś więcej. Wiara, adoracja, pragnienie, nadzieja, prośba przygotowały duszę na modlitwie do ściślejszego jeszcze zbliżenia z Bogiem. Zbliżenia tego dokonywa miłość. Dopiero ona przynosi zaspokojenie pragnień i nadziei. Ku niej, świadomie czy nieświadomie, zdąża wszelka modlitwa. Ona jest pełnością modlitwy.

Wszelka miłość polega na upodobaniu w pewnym dobru. Jeśli pożądamy tego dobra dla siebie, to miłość zawiera pierwiastek interesowności. Określamy ją jako miłość pożądania. Gdy zaś znajdujemy w jakimś dobru upodobanie niezależnie od naszej korzyści, wówczas jest to miłość życzliwości. Nadprzyrodzona cnota miłości Bożej jest upodobaniem w Bogu jako Dobru Najwyższym, jest miłością życzliwości.

Już pragnienia, występujące w modlitwie, można uważać za pewną postać miłości dążącej do swego przedmiotu. Tym bardziej nadzieja, która pożąda Boga jako Najwyższego Dobra duszy, mieści w sobie psychologiczne podłoże, z którego może wyróść miłość życzliwości. Lecz by ona rzeczywiście wyrosła, Bóg musi przyjść z szczególną pomocą, gdyż miłować Go doskonale i nade wszystko, tak by w potrzebie poświęcić dla Niego życie oraz każde inne dobro doczesne, to przewyższa przyrodzone możliwości człowieka w obecnym stanie.

Tylko Bóg może wlać w duszę miłość doskonałą. Sprawia to łaska chrztu: od chwili wszczepienia w Chrystusa, otrzymuje chrześcijanin własną cnotę miłości, jako udział w tej miłości najdoskonalszej, która stanowi wewnętrzne życie samego Boga. Odtąd najprawdziwsze i jedynie ważne dzieje duchowe chrześcijanina są dziejami jego wzrostu w miłości. Miłość Boża nadaje bezcenną wartość życiu ludzkiemu, ponieważ kieruje ku ostatecznemu celowi całą działalność człowieka: zarówno jego czyn, jak i modlitwę.

Miłość w czynie ma objąć całe zewnętrzne życie człowieka: jego prace, obowiązki zawodowe, rozrywkę, odpoczynek, stosunki z bliźnimi. Wszystkie one powinny wyrastać z korzenia miłości, t. zn. z nastawienia duszy nie ku sobie, ale ku Bogu jako celowi życia. Tę miłość w czynie nazywa teologia miłością kulturalną[1]).

Lecz to zasadnicze nastawienie, które miłość Boża nadaje woli, dąży do jeszcze wyraźniejszego ujawnienia się. Chce się wypowiedzieć aktami całkowicie świadomymi, pragnie dosięgnąć Boga wprost przez czynności rozumu i woli. Na tym właśnie polega modlitwa, czyli miłość aktualna.

Na miłość aktualną czyli modlitwę, składa się również pewna działalność rozumu. Czynnością rozumu kieruje wszakże tutaj wola, pragnąc znaleźć w nim pomoc dla swego wzrostu w miłości. Zastanawiam się np. nad dobrocią Boga, ale w tym celu, aby się pobudzić do jeszcze żarliwszej miłości. Miłość Boża wykorzysta dla swego celu także i uczucia, użyje ich siły do umocnienia woli. Jednak pierwsze miejsce zajmie zawsze wola.

Dla ujęcia samej istoty miłości nadprzyrodzonej chrześcijaństwo[2]) dało przedziwne określenie. Określenie, do którego wzniosłości i piękności nie zdołał się wznieść żaden inny system religijny: Nadprzyrodzona cnota miłości Bożej, jest to przyjaźń człowieka z Bogiem.

[1]) Por. O. J. Woroniecki: Pełnia modlitwy t. I. [2]) Św. Tomasz

Każda przyjaźń polega na zespoleniu i złączeniu dwu istot wzajemną życzliwością, ma zaś za podstawę wspólne uczestniczenie przyjaciół w jakimś dobru zasadniczym. W przyjaźni człowieka z Bogiem tym dobrem zasadniczym jest wieczna szczęśliwość Boga, do której chrześcijanin zostanie dopuszczony w życiu przyszłym, ale zaczątek jej otrzymuje już obecnie, w postaci łaski poświęcającej.

Wspólne posiadanie zasadniczego dobra powoduje zgodność, podobieństwo i współżycie obu przyjaciół. Nic nie jest tak właściwe przyjaźni jak współżyć z przyjacielem — zauważa św. Tomasz [3]. Dlatego poufne, serdeczne obcowanie człowieka z Bogiem stanowi treść chrześcijańskiej modlitwy. Sw. Teresa od Jezusa, dając określenie modlitwy wspólnej, które można w znacznej mierze zastosować do modlitwy w ogóle, idzie intuicyjnie po tej samej linii myślowej, co Doktór Anielski: „Modlitwa bowiem wewnętrzna — mówi — nie jest to moim zdaniem nic innego, jeno poufne i przyjacielskie z Bogiem obcowanie i wylana, po wiele razy powtarzana rozmowa z Tym, o którym wiemy, że nas miłuje" [4]).

Jedynie Święci, lepiej od nas zdając sobie sprawę z tego ogromu metafizycznej odległości, jaki oddziela człowieka od Boga, lepiej też pojmowali, do jakich wyżyn podnosi duszę ludzką modlitwa — przyjacielskie z Bogiem obcowanie i jak wielkim szczęściem, dającym przedsmak szczęśliwości wiecznej, ją napełnia. Na widok ten zdumiewali się wciąż na nowo, nad niezmierną, najłaskawszą miłością Boga dla człowieka. Rozumieli, że ta miłość i tylko ona stanowi dla człowieka rację bytu. Że nie ma człowieka tak małego, tak szarego, pogardzanego przez ludzi i podeptanego — zdawałoby się — nawet przez samo życie, który by nie był potrzebny Bożej Miłości.

Główne postaci miłości aktualnej.

Choć niepodobna wyczerpać całego bogactwa przejawów, którymi na modlitwie miłość się wypowiada, to jednak najogólniej można je ująć w czworakie łożysko: prośba, przebłaganie, dziękczynienie, adoracja.

W początkach życia wewnętrznego modlitwa błagalna miewa zwykle za przedmiot łaski doczesne. Później, w miarę postępu duchowego, zastępuje ją modlitwa o dobra nadprzyrodzone, lecz i tu powoduje jeszcze człowiekiem częstokroć raczej wzgląd na swoje „ja", niż na Boga. Jednak i taka modlitwa wypływa już z pewnego stopnia miłości, ponieważ prosi o te łaski w związku z ostatecznym celem człowieka, w związku z wiekuistym posiadaniem Boga.

Do modlitwy błagalnej sam Bóg zobowiązał ludzi jak najściślej. Uczynił z niej lekarstwo na wszelkie nasze duchowe niedomagania, środek nieodzowny do osiągnięcia dóbr nadprzyrodzonych, a tym samym niezbędny warunek zbawienia.

[3]) Summa IIa IIae q. XXIII a. 1.   [4]) Życie r. VIII, 5.

Modlitwa błagalna obejmuje także wszelakie potrzeby bliźnich, ogarnia cały Kościół wojujący i cierpiący. Modlić się tak, to znaczy pociągać i porywać świat ku Bogu. Modlitwa błagalna, to miłość, która dążąc do posiadania Boga, szuka ku temu środków i o nie prosi. W miarę oczyszczania się duszy, doskonali się również jej modlitwa błagalna. U Świętych, tych najwierniejszych Bożych przyjaciół, stanowi ona już wyraz czystej miłości.

Aby móc się zbliżać do Boga, trzeba wciąż usuwać zapory, które sami temu zbliżeniu stawiamy. Codziennie grzesząc, co dzień też musi chrześcijanin się oczyszczać, a Boga przebłagać. Miłość skruszona, miłość, która pragnie otrzymać przebaczenie, to treść modlitwy zadośćuczynnej. Dla rozwoju miłości ma ona wielkie znaczenie, ponieważ nie tylko oczyszcza duszę, ale chroni ją od nowych upadków. W miarę zbliżania się do Boga, dusza odczuwa potrzebę, aby przepraszać Go nie tylko za własne winy, lecz także za grzechy całej ludzkości, której jest współodpowiedzialnym członkiem.

Niektórym duszom, a nawet całym zgromadzeniom zakonnym, daje Bóg szczególne powołanie do modlitwy wynagradzającej, z którą łączą się też uczynki pokutnicze. Dusze te pojmują w sposób szczególnie wyraźny, jaki straszliwy dysonans w ogólnej harmonii świata stanowi wyłamywanie się stworzeń rozumnych spod Bożego prawa, widzą niezmierną zniewagę, wyrządzoną Miłości Nieskończonej. To też taka modlitwa zadośćuczynna wyraża zazwyczaj wysoki stopień miłości w duszy, miłości, która nie tylko boleje nad zniewagą wyrządzoną najlepszemu Bogu, ale ta stara się tę zniewagę zniweczyć i naprawić.

O ile modlitwa przebłagalna łączy się normalnie z odczuciem zbawiennego, nadprzyrodzonego smutku, o tyle dziękczynienie napełnia duszę radością na wspomnienie Bożych dobrodziejstw. Dziękować Bogu za cudowne ocalenia, za łaski bijące w oczy, potrafi nawet człowiek bardzo od Boga oddalony, ale dziękować stale **„semper et ubique“** — jest dziełem czystej miłości. Tylko człowiek, który już zbliżył się do Boga, zdoła dostrzec to mnóstwo Bożych dobrodziejstw, które go zewsząd otacza, tylko on rozumie, że w życiu chrześcijanina „wszystko jest łaską“, jak mówiła św. Teresa od Dz. Jezus. Wdzięczność cechuje prawdziwych miłośników Boga, ona też napełnia ich dusze nieustającym weselem. Stąd też modlitwa dziękczynna stanowi środek do utrzymania radości w sercu chrześcijanina: „Zawsze się weselcie... Bez przestanku się módlcie, we wszystkim dziękujcie“ [1]) — wzywał św. Paweł pierwszych chrześcijan.

Modlitwa dziękczynna cieszy się dziełami Bożej dobroci względem nas. Natomiast miłość, która wpatruje się w tę Dobroć samą w sobie, a w całym wszechświecie napotyka tysiączne jej odbicia, wypowiada się w uwielbieniu. Zachwycona Bożą pięknością głosi ją całemu światu i zaprasza wszystkie stworzenia do wysławiania Boga: „Błogosławcie Panu wszystkie dzieła rąk Jego“.

„Uwielbienie jest ekstazą miłości“ — mówi św. Elżbieta od Trójcy Św. Ekstaza — to wyjście z siebie. Na widok doskonałości Bożej dusza

całkiem zapomina o sobie, niejako wychodzi z siebie, aby oddać się całkowicie, modlitwą i czynem, uwielbianiu Najwyższej Miłości.

Cztery główne odcienie modlitwy mają, jak widzieliśmy, swoją podstawę w potrzebach duszy ludzkiej i wszystkie na swój sposób oddają chwałę Bogu. To też w modlitwach chrześcijanina, prowadzącego życie wewnętrzne, nie zbraknie żadnego z tych odcieni. W nich bowiem wypowiada się, po prostu i samorzutnie, duchowe życie chrześcijanina, Bożego przyjaciela.

Wierzyć Miłości.

Zbyt często stwierdzamy, że modlitwie człowieka współczesnego brak nieraz bezpośredniości, brak silnego pulsującego życia. Aby więc dobrze się modlić, trzeba wpierw odpowiedzieć na pytanie, tak bardzo ważne: gdzie tkwi przyczyna tych braków?

Człowiek dzisiejszy jest zmęczony. Zmęczony do ostatka walką wczorajszą i dzisiejszą o swoje prawdziwe „miejsce na ziemi". Rozdwojony przez zwątpienie, pełen jest nieufności do wszystkich i do wszystkiego. Do siebie, do bliźnich, nawet do samego Boga. To też przerażeniu czasów dzisiejszych zdoła się przeciwstawić jedynie coś bardzo silnego. Nie zaspokoją, nie nasycą całego człowieka ani dzieła materialnej odbudowy, ani reformy społeczne i przeobrażenia ustrojowe. Wszystko to jest potrzebne, ale życie woła o coś więcej. Człowiek dzisiejszy musi naprawdę wierzyć w Miłość.

Uwierzyć w Boga, który jest Miłością. Uwierzyć, że to, co go w życiu spotkało i co dzień spotyka, nie jest ani dziełem przypadku, ani tym mniej nonsensu, ale tajemnicą i pełną mądrości gospodarką Bożej Dobroci. Musi się poczuć tym, którego Bóg miłuje i chce uczynić swoim przyjacielem. Uwierzyć, że żadna łza, żadna tęsknota, żadne pragnienie ani żadna nadzieja nie przepada w pustce. Że wszystkie one mogą i powinny stać się modlitwą, która znajduje echo i odpowiedź w miłującym Sercu Boga.

Bóg mógłby był zażądać od człowieka wiary w swoją miłość, nie dając mu dowodów. Ale nie chciał tak postąpić, gdyż za dobrze zna słabość ludzkiego serca. Uczynił więc wszystkie stworzenia świadkami swojej miłości dla człowieka. Najgłośniej jednak woła o tej miłości krzyż, wołają rany Chrystusowe. Z nich poznaje człowiek, w jakim trudzie Bóg wyszedł na jego spotkanie. „Szukałeś mnie spracowany, odkupiłeś krzyżowany..."

Uczestnicząc zaś w Ofierze bezkrwawej, która wszystkim czasom otwiera dostęp do błogosławieństw Chrystusowej męki, odnajdzie chrześcijanin w niej źródło miłości, która ożywi i umocni jego modlitwę i czyn. Miłość decyduje o wartości życia i wartości modlitwy.

A dopiero wówczas, gdy człowiek uwierzy w Miłość, modlitwa jego może rozkwitnąć miłością wzajemną, w przyjacielskim obcowaniu z Bogiem. Wtedy prosić będzie przede wszystkim o to, co może go zbliżyć do Miłości Najwyższej, przepraszać za wszystko co Jej stawia opór, dziękować za nieprzeliczone Jej dobrodziejstwa, wreszcie uwielbiać modlitwą i czynem Jej moc zwycięską.

„Coście wyszli widzieć na puszczę"...

Pamięci O. Alfonsa, przeora dawnej pustelni Czerneńskiej.

W dzisiejszej dobie, gdy jesteśmy świadkami, jak ludzie zmieniają swe przekonania i zasady, człowiek o prawdziwym charakterze i niezmiennej stałości budzi w nas głęboki szacunek. Swiat dzisiejszy obfituje w ludzi chwiejnych, co za kawałek chleba, za chwilę wygodniejszego życia, gotowi się zaprzeć dotychczasowych przekonań, a przyznać do tego, od czego się dawniej odżegnywali.

Ileż dzisiaj, choćby w dziedzinie religijnej, kompromisu i ustępstw na korzyść zasad, przeciwnych prawdziwym pojęciom katolickim! Usiłowanie pogodzenia życia „wedle świata" z życiem według ducha Ewangelii nie doprowadzi jednak do niczego. Musi bowiem zwyciężyć w końcu albo jedno albo drugie, według słów Chrystusowych: „Dwom panom nie można służyć".

W takich chwilach, zawstydzającej nas katolików i upokarzającej zmienności i niestałości właśnie co do tych rzeczy, które powinny być dla człowieka wierzącego święte, nienaruszalne — prawdziwie mocni i nieugięci ludzie są nam ratunkiem. Są drogowskazami i zachętą w dążeniu ku celom prawdziwym.

Do takich ludzi należał ś. p. O. Alfons Maria od Ducha Świętego — (Mazurek), Przeor OO. Karmelitów bosych w dawnej pustelni w Czernej koło Krakowa. Gdy odpominamy sobie jego postać, mimowoli przypomina się dialog, jaki prowadził Chrystus z otaczającym tłumem o osobie Jana Chrzciciela:

— „Coście wyszli widzieć na puszczę? — pytał Chrystus. — Trzcinę chwiejącą się na wietrze? Człowieka odzianego w miękkie szaty? Oto ci co w miękkie szaty się obłóczą, w domach królewskich są". I następnie nakreślił Chrystus obraz poprzednika swego, tego człowieka twardego, żyjącego na puszczy.

Takim człowiekiem twardym, nieugiętym, człowiekiem z prawdziwym charakterem był O. Alfons Maria. Nie było w nim słabości ani kompromisu. Wyciosany był jakby z jednolitej bryły. Nie szedł na ustępstwa za żadną cenę w życiu, nie zmienił się również w obliczu śmierci, grożącej mu z ręki zbirów niemieckich. I dla tej też stałości swoim zasadom i przekonaniom został zamordowany. Jeśli wielki nasz poeta o ludziach trwających nieugięcie przy swych zasadach i przekonaniach wśród ogólnego oportunizmu i kompromisu napisał te piękne słowa: „Błogosławieni, którzy w czasie gromow nie utracili równowagi ducha... Błogosławieni, albowiem ich męstwo wielkiego gmachu wrota im otworzy, gdzie razem z chwałą króluje zwycięstwo" — to słowa te możemy śmiało odnieść do postaci nieugiętego kapłana i zakonnika, jakim był O. Alfons Maria.

Zapewne, że stałość jego charakteru była po części wrodzona, ale była też wypracowana dobrze zrozumiałą ascezą chrześcijańską. Kaplica, jaką w ostatnim roku swego zycia wzniósł ku czci św. Jana Chrzciciela przy południowej bramie klasztoru w Czernej, jest najlepszym dowodem, że ten surowy mąż pustyni był mu bliski duchowo i że na jego wzorze kształtował swój charakter.

Wielki znawca młodzieży, czcigodny O. Rafał Kalinowski, powiedział niegdyś o O. Alfonsie, gdy ten był jeszcze uczniem gimnazjalnym: „Ten chłopiec jeśli wytrwa, będzie twardym zakonnikiem". Określenie to znalazło doskonałe potwierdzenie w całym życiu O. Alfonsa. Był zawsze zrównoważony, spokojny, konsekwentny w postępowaniu, wywierał zbawienny wpływ stałością swych zasad zarówno na młodszych, jak i na starszych. Ten sam rys wyodrębniał go jako przełożonego klasztoru. Surowy był w wymaganiach, starał się, aby zakonnicy istotnie urzeczywistniali wielkie ideały swego powołania — ale czego wymagał od innych, to sam wpierw czynił. To też dziwnie harmonizowała jego postać poważna i surowa ze starym klasztorem czerneńskim, z jego powagą i spokojem.

Widziałem go ostatni raz na Alei św. Józefa, ciągnącej się wzdłuż muru klasztornego. Szedł poważny i zamyślony, choć świat sie wokół śmiał i tą świeżą zielenią drzew i tymi kwiatkami na wyrębach i perlistą



kaskadą śpiewów ptaszęcych... pomyślałem wtedy, że takimi musieli być średniowieczni mnisi. Wśród wzgórz i borów, gdzie położone były ich klasztory, wśród roześmianej przyrody, żyli oni w zadumie i kontemplacji nieprzemijających wiecznotrwałych prawd.

Nie było w psychice O. Alfonsa słabości i ckliwości, tak charakterystycznej dzisiejszemu pokoleniu. Może mało nawet było u niego zrozumienia słabości człowieczej i jej potrzeb. Wyciosany duchowo z jednego głazu, całkowity w swych zapatrywaniach i przekonaniach — nie umi ł poprostu od nich odstępować. To też choć czasem zbyt surowym się wydawał, rozumiano dobrze, że była to właściwość jego charakteru i przekonań. Śmierć gwałtowna pod bagnetami i kulami wrogów wtedy, kiedy był jeszcze w sile wieku odpowiadała mu — jeśli można użyć takiego paradoksalnego określenia — harmonizowała z jego męskim, surowym charakterem. Trudno bowiem wyobrazić sobie, by on mógł zejść z tego świata np. śmiercią zwyczajną ze słabości fizycznej czy choroby.

Śmierć O. Alfonsa nastąpiła skutkiem wzrastającej wściekłości Niemców, gdy widzieli przed sobą straszliwe widmo przegranej wojny. W miarę jak wzrastały niepowodzenia na froncie wschodnim, zaczęło wzrastać rozprężenie i ferment okupowanych krajów. Ferment ten wzrósł zwłaszcza z wiosną 1944 r.,

na skutek pomyślnego desantu Anglosasów w Normandii, zamachu na Hitlera i gwałtownego odwrotu armii niemieckiej ze wschodu.

Coraz śmielsze i na szerszą skalę zakrojone wystąpienia partyzantów polskich zarówno na Kresach jak i wewnątrz kraju, nie tylko osłabiały Niemców, ale wskazywały im, jakie jest właściwe ustosunkowanie się Polaków do nich. Miotając się w przededniu klęski, propaganda niemiecka wespół z dowództwem wojskowym rzuciła nowe hasło z końcem wiosny 1944 — hasło kopania okopów.

Zaczęła się nowa udręka i poniewierka ludności polskiej. Pędzono całe gromady mężczyzn i kobiet, dziewcząt i chłopców i kazano im kopać rowy strzeleckie, rowy przeciwczołgowe, budować bunkry i schrony. Deszcz nie deszcz, bagna nie bagna, skały czy piachy — nie było wyboru ni odpoczynku! Wśród takich okoliczności rozegrała się w cichym klasztorze OO. Karmelitów bosych w Czernej tragedia męczeństwa i śmierci przeora tego klasztoru O. Alfonsa Marii.

28 sierpnia 1944 r. w najbliższą okolicę Czernej zjechała specjalna grupa członków S.A. Na początek zamordowali kilka osób w Filipowicach, to samo uczynili w Nowej Górze, gdzie nadto spalili kilka domów, wreszcie przyjechali do Czernej. Wpadli do klasztoru, grożąc rewolwerami i krzykiem. Gdy wyszedł do nich O. Alfons napadli na niego brutalnie, żądając wytłumaczenia, dlaczego zakonnicy nie pracują w okopach. Przeor z właściwym sobie spokojem wyjaśnił im, że duchowieństwo zgodnie z zarządzeniem Księcia Metropolity wolne jest od tych zajęć. Dodał jeszcze, że klerycy i młodsi zakonnicy, zamiast przy okopach, pracują przy żniwach. Tłumaczenie to, choć zupełnie wystarczające, nie zadowoliło żołdaków. Zaczęli się odgrażać, że oni nauczą, jak należy spełniać niemieckie rozkazy. Polecili przygotować się wszystkim zakonnikom do wymarszu.

O. Alfons czy świadomie czy nieświadomie coś przeczuwał. Najważniejsze sprawy klasztorne zlecił jednemu ze starszych Ojców, którego z powodu słabości Niemcy pozostawili na miejscu. Poszedł następnie do kościoła, gdzie gorąco się pomodlił przed Najświętszym Sakramentem i przed cudownym obrazem Matki Bożej.

— Kto wie, co mnie spotkać może — mówił do jednego z Ojców — trzeba być na wszystko przygotowanym.

Zgromadzonych zakonników popędzili esmani do punktu zbornego w Czernej. Tam dołączono ich do sporej gromady ludności spędzonej na roboty. Dla dobrego przykładu kazano zakonnikom maszerować na przedzie. Ojciec Przeor szedł wśród braci swoich zakonnych spokojny i jak zawsze zrównoważony. Był dziwnie skupiony i zamodlony. Raz po raz spoglądał na widniejący w dali biały klasztor, w którym z górą jedenaście lat spełniał obowiązki przełożonego i z którym się zżył jak z domem rodzinnym. W spojrzeniu tym malowała się jakaś głęboka rzewność, przeczuwał snać, że do niego nigdy już nie powróci.

Gdy cała gromada ludności z zakonnikami na czele uszła już spory kawał drogi, odezwał się sygnał samochodu. Nadjeżdżali pozostali żołnierze z ekspedycji. Auto ciężarowe zatrzymało się i zawezwano Przeora do środka. O. Alfons tłumaczy im, że jest silny i może iść, prosi, by wzięli tych zakonników, którzy są słabi i wyczerpani, ale nic nie pomogło. Pod groźbą rewolweru wsiadł do auta.

Jeszcze ostatnie spojrzenie na współbraci i lud czerneński, z którym się tak zżył przez długie lata, jeszcze ostatni ruch ręką, jakby błogosławiący i auto zniknęło sprzed oczu idących.

Tyle opowiadają świadkowie naoczni z klasztoru w Czernej. O tym co się potem stało, wiemy z opowiadania kilku osób z Nawojowej Góry, które widziały smutny obraz morderstwa.

Oto przed łączką opodal drogi zatrzymało się auto. Żołnierze wyprowadzili O. Alfonsa. Krzyczeli coś głośno i popychali go. O. Przeor nie zwracał wcale uwagi na nich, trzymał w ręku koronkę i szedł spokojnie. W pewnej odległości od drogi żołnierze przystanęli i kazali mu iść naprzód. Za idącym poczęły pa-

dać strzały: jeden, drugi, dziesiąty... Zakonnik zachwiał się raz, drugi, wreszcie upadł... Usiłował się jeszcze podnieść, ale nowe strzały powaliły go ostatecznie. Konającemu jeszcze wsypywano piasek i ziemię do ust.

Jakie były ostatnie słowa, jakie ostatnie akty O. Alfonsa — nikt nie słyszał, może tylko mordercy. Ale jeden fakt daje nam wiele do myślenia: trzymany przez zakonnika różaniec w ręce. Ostatnie więc słowa jego były słowami modlitwy do Królowej Niebios i Królowej Polski. Z modlitwą do Matki Bożej padł, zraszając krwią zieloną ruń łąki... Padł z imieniem Marii na ustach, jak owi polscy rycerze, co w Jej obronie ginęli na polach bitwy szepcząc: Zdrowaś Mario. A Ta, w której zakonie żył, dla której pracował przyjęła go z pewnością jako wiernego syna do wiecznej radości.

Kaci - sadyści, po dokonanym zabójstwie, udali się do sołtysa, polecili mu zawieźć zwłoki na cmentarz w Rudawie i tam je pogrzebać. Po ich powrocie wsiedli wszyscy do auta i odjechali w stronę Krakowa.

Po południu kilkunastu zakonników dojeżdżało do Rudawy. Niemcy bowiem chcąc prędzej dostawić ludność na miejsce robót, przewozili ich autami ciężarowymi. Gdy auto mijało wóz, na którym spoczywały zwłoki Ojca Alfonsa, bracia zakonni spostrzegli wystające spod zarzuconego płaszcza bose stopy w sandałach karmelitańskich. Chcieli natychmiast przystanąć, ale dopiero pod samą Rudawą szofer zatrzymał auto. Kilku zakonników wyskoczyło natychmiast i nie zważając na groźby Niemców, podbiegło do nadjeżdżającego wozu. Odsłoniwszy płaszcz, zobaczyli, że był to ich Przełożony.

Twarz jego pokryta lepką masą i ziemią tak była zmieniona, że w pierwszej chwili nie mogli go poznać. Oddychał jeszcze... Chcieli się zatrzymać, by oddać umierającemu ostatnią posługę, ale Niemcy przemocą ich usunęli. Jeden z ojców zdążył tylko udzielić konającemu ostatniej absolucji. Życie zakończył O. Alfons w cieniu drzew starych na cmentarzu w Rudawie.

Z cmentarza przewieźli zakonnicy zwłoki do klasztoru w Czernej. Tam je obmyto i złożono do trumny. Wtedy okazało się, że kilka strzałów przeszyło w różnych miejscach ciało. Jedna noga była złamana a śmierć spowodował prawdopodobnie strzał w czaszkę.

Nasuwa się teraz pytanie, za co zamordowali O. Alfonsa? Czy był to po prostu bezmyślny czyn pijanych zbirów niemieckich, czy uplanowane z góry morderstwo, wypływające z nienawiści do sukni zakonnej i pracy kapłańskiej Przeora czerneńskiego? Czy może chcieli Niemcy wydobyć od niego jakie zeznanie o pracujących na rzecz Polski?

Trudno na to odpowiedzieć. To ostatnie jednak wydaje się najprawdopodobniejsze. Jadący bowiem za autem pewien ksiądz świadczył, że żołnierze z podnieceniem i złością rozmawiali z więźniem, jakby coś chcieli od niego wydostać. Przeor zachowywał się spokojnie i odpowiadał z właściwą sobie stanowczością.

Niemniej prawdopodobne jest i to, że śmierć O. Alfonsa była z góry postanowiona. Wskazywałyby na to pogróżki Niemców, którzy wpadając do klasztoru, od razu zapowiadali, że nie obejdzie się i tu bez pogrzebu.

O. Alfons, jako długoletni przeor klasztoru, był bezwątpienia jedną z najbardziej wpływowych i poważnych osobistości w całej okolicy. Przez śmierć więc jego chcieli Niemcy sterroryzować i przejąć lękiem całą ludność i w ten sposób zmusić ją do robót okopowych.

I chociaż nie wiemy z całą pewnością, o co chodziło, to przecież jedno jest pewne, że Ojciec Alfons poniósł śmierć z racji swego powołania i stanowiska, jakie zajmował w społeczeństwie. Toteż umarł godnie jako kapłan i Polak nieugięty, niezłamany do końca.

Następnego dnia, 29 sierpnia, udało się zakonnikom uzyskać pozwolenie na powrót do klasztoru, ale tylko na kilka godzin, gdyż nazajutrz musieli się stawić do pracy na okopach. W tym też dniu późnym wieczorem urządzono pogrzeb zamordowanemu Przeorowi.

Była to chwila wstrząsająca.

Wśród zapadających mroków majaczyły w dali szczyty gór i świeciły białe mury klasztoru - pustelni. Chwiały się na wieczornym wietrze

żółte płomienie świec. W martwej ciszy słychać było tylko szloch współbraci zakonnych i zebranej ludności oraz szelest kropli deszczu. Kiedy zaś po obrzędach pogrzebowych zaśpiewali bracia zakonni przerywanymi od płaczu głosami ostatnią pieśń pożegnania: Salve Regina — zaszumiały w dali lasy i z swej leśnej piersi wzniosły w zapadającą noc potężną surmę majestatycznych głosów, jakby hymn nieśmiertelny dla tego, co tak dobrze odczuł ich mowę, tworząc melodię do czerneńskiej pieśni:

Tam wśród ciszy sinych borów
Otoczonych srebrną mgłą,
Tam Karmelu jasna Pani
Założyła twierdzę swą.
Z czerneńskich wzgórz
Rozbrzmiewa dzwon —
Królowej swej
Cześć głosi on...

Ta pieśń będzie może najtrwalszym pomnikiem pamięci ludzkiej dla Ojca Alfonsa i ona mu będzie grała w mroki i zarania na strunach brzóz i lip i dębów nieustanną melodię wiecznego spoczynku.

Kościół w on dzień obchodził pamiątkę męczeńskiej śmierci ścięcia herolda Chrystusa, Jana Chrzciciela, któremu O. Alfons ufundował i — przed dwoma miesiącami — uroczyście poświęcił piękną kaplicę opodal klasztoru przy alei św. Józefa.

Jeśli chodzi o zewnętrzną stronę działalności O. Alfonsa, to charakteryzowała go przedsiębiorczość i aktywność. Rozbudował częściowo gimnazjum w Wadowicach, a w klasztorze czerneńskim przeprowadził wiele technicznych ulepszeń. Na stromej i mało użytecznej górze, przez wykopanie szkarp i tarasów, założył żyzny i użyteczny ogród. Zbudował wapiennik, elektrownię, zaprowadził instalację elektryczną, wodociąg i miał przygotowane plany odbudowy dawnej pustelni, niwelacji góry, zbyt przytłaczającej klasztor i założenia na niej malowniczej groty Matki Bożej.

Praca jego nie ograniczała się jednak tylko do czynności zewnętrznych, ale znajdywała swój wyraz i w twórczej pracy duchowej, zwłaszcza w dziedzinie muzyki. Wydał mniejszy podręcznik nieszporny, opracował nowy, obszerny zbiór pieśni, komponował własne melodie do pieśni religijnych. Niektóre z nich są rzeczywiście natchnione i głębokie. Zasilał artykułami o szkaplerzu Matki Bożej z Góry Karmelu nasz miesięcznik „Głos Karmelu".

W latach wojennych wyszła z druku na nowo opracowana przez O. Alfonsa książka p. t. „Cedry Libańskie", czyli rekolekcje dla osób zakonnych. Książka ta surowa i twarda, ale pewna i niezawodna, jest doskonałym wyrazem duchowości ś. p. Przeora czerneńskiego.

Dziś na mogile O. Alfonsa zielona ruń rośnie. Święta ziemia skryła jego podziurawione kulami ciało, tak jak skryła w sobie te tysiące Polaków, umęczonych za wolność i wiarę.

I ten grób kapłana-zakonnika staje się dziś symbolem!

Daje bowiem świadectwo tej prawdzie, że nie jedna część narodu, jak to było dawniej, nie jedna jakaś organizacja podziemna walczyła i składała ofiary na ołtarzu Ojczyzny, ale cały naród i wszystkie jego stany. Żołnierz w czynnej walce, wieśniak w stałym i mocnym oporze względem zarządzeń wroga, inteligent paraliżujący metodyczne plany zaborcze — wszyscy oni to Polska walcząca, niezłomna i naszej czci głębokiej godna.

Duchowieństwo nie mniejsze — owszem większe od innych poniosło straty. Idąc bowiem na czele społeczeństwa, narażone było na pierwsze ciosy wroga. Wystarczy wspomnieć Wielkopolskę, Pomorze, Śląsk i porównać statystyki przedwojenne i obecne. W niektórych diecezjach połowa czy jedna trzecia spośród kapłanów zginęła. Za co? Za to, że byli szerzycielami nie tylko wiary, ale i miłości Ojczyzny.

Do tych bohaterów-kapłanów należy i ś. p. O. Alfons. Zamyka on swoją śmiercią tę krwawą kartę ofiar, jakie złożył Zakon Karmelitański w sześcioletnich pracach i walkach za wiarę i Ojczyznę.

Bóg je widział, jak widział ofiary Oświęcimia, Majdanka, Dachau, Warszawy i katorgi obozów w Niemczech — widział je, zliczył i ufamy, że położą się one jako kamienie węgielne w budowie jasnej i lepszej przyszłości.

O. B. K. B.

Do Czytelników „Głosu Karmelu".

Począwszy od września 1946 r., ukazywać się będzie co miesiąc osobny dodatek „Głosu Karmelu", obejmujący 32 stron druku, p. t. **„Pod Opicką św. Józefa"**. Załączamy pierwszy zeszyt wraz z blankietem P.K.O., którym można uiścić przedpłatę do końca tego roku. Dla prenumeratorów „Głosu Karmelu" cena pojedynczego dodatku wynosi **5 zł.** (cztery miesiące **20 zł.**). Dla innych, którzy nie pobierają „Głosu Karmelu" cena pojedynczego dodatku wynosi **5 zł.** (za cztery miewynosi **10 zł.** — czyli do końca roku za cztery miesiące 40 zł. Zachęcamy gorąco naszych Czytelników do abonowania i rozszerzania jednego i drugiego Karmelitańskiego czasopisma.

Za pozwoleniem władz duchownych i zakonnych.
Zgodnie z dekretami Urbana VIII.

„GŁOS KARMELU" — miesięcznik zakonu OO. Karmelitów Bosych, poświęcony głębszym zagadnieniom życia wewnętrznego.

Redaguje Kolegium. Adres Redakcji i Administracji:
Kraków, Rakowicka 18. Nr konta PKO. IV-842.
Prenumerata: pojedynczy zeszyt 25 zł., kwartalnie 70 zł.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca" w Krakowie. M—13191

ZELO ZELATVS SVM PRO [illegible]